

Europejskie historie z Ukrainy

2024

Europejskie historie z Ukrainy, 2024 – 79 s., ilustracje.

Niniejsza publikacja dedykowana jest 15-leciu Nagrody Literackiej Unii Europejskiej (EUPL) i stanowi kolejny wyraz naszego stałego wsparcia dla ukraińskiego środowiska literackiego. Od 2019 roku wyżej wymienioną nagrodę otrzymały dwie ukraińskie autorki: Haśka Szyjan (2019) za swoją drugą powieść „Za plecami” i Eugenia Kuzniecowa (2022) również za swoją drugą powieść: „Nim dojrzeją maliny”. Konsorcjum EUPL wyraża słowa podziękowania obu Autorkom za zgodę na udział w niniejszej publikacji.

Książka powstała we współpracy z Agencją Literacką OVO. Jej dyrektor wykonawczej Wiktorii Matiuszy dziękujemy za nieocenione wsparcie w koordynacji pracy tłumaczy i redaktorów, Sofii Sulij za ilustracje do wydania, zaś Andrijowi Kurkowowi za napisanie przedmowy. Każdej z wymienionych osób jesteśmy głęboko wdzięczni.

Z okazji Targów Książki we Frankfurcie publikacja ukazała się w trzech różnych wersjach dwujęzycznych: za każdym razem ukraińskiej oraz niemieckiej, angielskiej i włoskiej. Dodatkowe wersje językowe będą dostępne na stronie internetowej EUPL (www.euprizeliterature.eu).

Wydanie współfinansowane przez Unię Europejską.

Wyrażone w publikacji poglądy należą do Autorów i nie zawsze odzwierciedlają stanowiska Unii Europejskiej i Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Zarówno Unia Europejska, jak i EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.



EUROPEAN UNION
PRIZE FOR LITERATURE



Co-funded by
the European Union

EUPL 29, Chaussée d'Ixelles Box 4, 1050 Brussels

info@euprizeliterature.eu

© EUPL wersje tłumaczeniowe

© Wersja ukraińska –

Andrij Kurkow, Haśka Szyjan,

Eugenia Kuzniecowa

© Ilustracje – Sofija Sulij



Haśka Szyjan, Eugenia Kuzniecowa

Europejskie historie z Ukrainy

Przedmowa Andrija Kurkowa

Ilustracje Sofii Sulij

Tłumaczenie: Maciej Piotrowski, Ryszard Kupidura

Spis treści

Słowo do czytelnika	5
Euromiraż	10
Andrzejki.....	42

Słowo do czytelnika

Andrij Kurkow

Niełatwo przedstawiać ukraińską literaturę obco-krajowcom. Czytelnicy z zagranicy, szukając najnowszych tekstów, zazwyczaj odnoszą się do klasycznej literatury danego kraju. Mimo że w ostatnich latach zaczęły pojawiać się pojedyncze przekłady ukraińskiej klasyki, pozostaje ona nieznaną za granicą. Dlatego też mało kto jest świadomy, na ile ukraińska literatura jest osadzona w europejskich tradycjach i historii. Prezentowanie współczesnych ukraińskich pisarzy jest misją zaszczytną i – o dziwo – wdzięczną, szczególnie dziś, gdy rosyjskie próby niszczenia naszej kultury, a przede wszystkim tożsamości, wzmacniają znaczenie naszego dziedzictwa i literatury.

Zanim jednak przejdę do polecenia przedstawiciele ukraińskiej współczesności, chciałbym przedstawić Państwu kilku intrygujących reprezentantów naszej klasyki. Pozwoli to spojrzeć na dzisiejsze dzieła pisarzy z Ukrainy jako kontynuację europejskich tradycji literackich.

Jednym z moich ulubionych bohaterów ukraińskiej historii jest niejaki Giorgio da Leopoli, znany również jako Jurij Drohobycz, choć tak naprawdę nazywał się Jurij Donat Kotermak.

Ten przedstawiciel epoki odrodzenia, poeta, filozof, astronom i astrolog urodził się w Drohobyczu pod Lwowem. Był studentem, a następnie wykładow-

cą Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po pewnym czasie przeniósł się na najstarszą europejską uczelnię wyższą, Uniwersytet Boloński, by w 1481 roku zostać jej rektorem. W lutym 1483 wydał „Ocenę prognostyczną roku 1483” napisaną po łacinie, uważaną za pierwszą drukowaną książkę ukraińskiego autora.

Sto dwadzieścia siedem lat później, w 1610 roku, inny ukraiński myśliciel, pisarz, filozof i teolog Melecjusz Smotrycki opublikował utwór polemiczny „Lament” w języku polskim.

Wreszcie w 1722 roku w Ukrainie przyszedł na świat Hryhorij Skoworoda, najśłynniejszy ukraiński filozof mistyk, poeta, teolog, autor traktatów filozoficznych, nazywany Sokratesem. Pisał w języku staroukraińskim, cerkiewnosłowiańskim, w słobodzkim dialekcie języka rosyjskiego oraz po łacinie. Cerkiewna cenzura nie pozwalała publikować utworów filozofa za jego życia.

Na tak solidnym fundamencie stoi znakomita ukraińska klasyka XIX i XX wieku, a także literatura współczesna, nawet jeśli niektórzy z jej twórców chcieliby odżegnywać się od związków z poprzednikami.

Autorów najnowszych tekstów możemy śmiało nazwać „pokoleniem wojny”. Ludzie ci dzięki swojej twórczości, a także postawie obywatelskiej spod znaku *if i may*, przesunęli na tyły krajowej sceny literackiej pisarzy starszych, którzy zdobywali swoich pierwszych czytelników w okresie postradzieckiego kryzysu politycznego, moralnego i ekonomicznego i za pomocą własnych utworów zmagali się z apatią posowieckiego czytelnika. Gdyby jednak nie było Jurija Andruchowycza, Oksany Zabuzko, Marii Matios i innych przedsta-

wicieli tamtej generacji, to nowe pokolenie mogłoby nie znaleźć swojej widowni.

W Ukrainie, tak jak w innych krajach, gdzie czytelnictwo jest silne, literatura rozwija się nieprzewidywalnie i dynamicznie. Pomaga w tym fakt, że wybuch rosyjsko-ukraińskiej wojny w 2014 roku wzbudził u pisarzy poczucie odpowiedzialności za przyszłość kraju i swoich czytelników. Twórcy stali się jednocześnie kronikarzami, świadkami, uczestnikami i sędziami wydarzeń w Ukrainie i poza nią.

Najpopularniejszym gatunkiem w dzisiejszej Ukrainie jest proza wojenna, w tym dokumentalistyka, zazwyczaj opracowywana przez osoby uczestniczące w działaniach wojennych, weteranów i wolontariuszy. Literatura mainstreamowa nie straciła przy tym swojej dynamiki i nadal zachęca czytelników do nowego spojrzenia na rolę pisarstwa w ukraińskiej współczesności i historii. Oczywiście, trwająca wojna przenika również do utworów niepoświęconych tematom frontowym. Aktualna tragedia dotknęła każdego Ukraińca – stąd też musiała wpłynąć na obraz bohaterów wszystkich tekstów literackich.

Obie autorki zaprezentowane w tej książce nie tworzą prozy wojennej. Piszą o życiu, takim, jak ono wygląda dzisiaj w naszym kraju. Proza Haśki Szyjan i Jewhenii/Eugenii Kuzniecovej odzwierciedla naszą rzeczywistość, opowiada o naszych marzeniach, problemach i sprawach, o których nie chcemy mówić głośno, a które trzeba poruszyć.

Haśka Szyjan weszła do ukraińskiej literatury powieścią „Za plecami”, uhonorowaną w 2019 roku Nagro-

dą Literacką Unii Europejskiej. Tekst ten sprowokował wiele dyskusji w ukraińskich środowiskach pisarskich właśnie ze względu na odwoływanie się do nieprostych problemów, z którymi próbuje poradzić sobie główna bohaterka utworu, młoda lwowianka Marta. To kwestie dotyczące sztucznego i prawdziwego patriotyzmu, prywatnego stosunku do losu kraju ogarniętego wojną, tolerancji i agresji, dyktatu i wolności wyboru dróg życiowych. Powieść nabiera dodatkowej aktualności teraz, gdy miliony ukraińskich uchodźców pojawiło się w Europie.

Motywnym przewodnim prozy Eugenii/Jewhenii Kuzniecovej jest „dom” w różnych wymiarach tego słowa: jako wspólnota i świątynia, a także jako schron i bezpieczna przystań. Szczęśliwy dom Eugenia pokazała w utworze „Nim dojrzeję maliny”.

W jej drugiej powieści „Drabina” spotykamy grupę krewnych, różniących się wartościami i podejściem do życia, a zmuszonych przez rosyjską inwazję do zamieszkania w jednym budynku. Głównym bohaterem książki jest młody informatyk Tolik, który przed wybuchem wojny emigruje do Hiszpanii. Po wybuchu nawiedzają go krewni uciekający z Ukrainy, a jego przestrzenny trzypiętrowy dom okazuje się zbyt ciasny dla nich wszystkich. Powieść Kuzniecovej jest opowieścią o prywatności, współistnieniu i tolerancji.

Znakiem firmowym tej autorki jest umiejętność opisywania dramatycznych sytuacji z ironią i życzliwością.

Literatura ukraińska przeżywa dziś trudne, ale ożywcze chwile. Powstają nowe księgarnie, a pisarze

nie przestają tworzyć nawet po wstąpieniu do wojska. Polecam zwrócić uwagę na Markijana Kamysza, Sofię Andruchowycz, Artema Czapaja, Katerynę Michalicynę, Oleksandra Mycheda i Artema Czecha. Ich książki zostały przetłumaczone już na wiele języków. To oni – tak jak przedstawione tutaj Haśka Szyjan i Eugenia Kuzniecowa – kształtują świat literacki Ukrainy, który pomoże zagranicznym czytelnikom lepiej zrozumieć naszą historię i współczesność.

Euromiraż

Haśka Szyjan

Lato 1989 jest jak wyciąg narciarski: początek liny jest przyczepiony do palca wskazującego Lenina, a koniec ginie we mgle, gdzieś wśród szczytów.

W maju zdążyliśmy jeszcze wstąpić w szeregi pionierów – sowieckich harcerzy. Czuliśmy, że to bez sensu, ale odbębniliśmy wszystkie rytuały. Zawiązaliśmy sobie czerwone chusty na szyjach i wyszykowaliśmy się do pamiątkowego zdjęcia na tle pomnika wodza, który wciąż stał, obrócony plecami do Opery Lwowskiej. Nikt już nie krył oburzenia jego brakiem szacunku do miasta. Nie to, żeby kiedykolwiek obchodził mnie ten bełkocący karzeł w kaszkiecie – raczej męczyła mnie jego ciągła obecność i przesadna uwaga, którą mu poświęcano: Włodzimierz z profilu i en face, w postaci tysego dziada albo chłopczyka z anielskimi kędziorkami, niemalże Kupidyna. „Lenin to, Lenin tamto, ile można!” – myślałam.

Jedynymi przejawami radzieckiego patosu, które zasłużyły na moją dziecięcą uwagę, były pogrzeby poprzedników Gorbaczowa. Procesje pogrzebowe, przechodzące przez wszystkie miasta Związku Sowieckiego, wyglądały jak wędrowny cyrk inscenizujący smutek. Najważniejsze było to, że w dni żałoby miałam wolne od żłobka.

**GOODBYE
LENIN**

Back to school collection 1989



Lato 1989 zmieniło wszystko. Nie wiedzieć czemu. Ostateczny rozpad Związku nastąpił przecież dwa lata później, mur berliński stał jeszcze nienaruszony, choć musiał odczuwać potężne ruchy tektoniczne. Gdy 1 września wróciliśmy do szkoły, portrety Lenina zniknęły z honorowych miejsc nad tablicami. Po cichu, niemal konspiracyjnie, nie powieszono ich z powrotem po wakacyjnym malowaniu ścian. Nie pozostał po nich ślad nawet w postaci szarych kwadratów na ścianach. Tylko gdzieś tam ich dawną obecność zdradzały gwoździe, na których potem wieszano to poetę Tarasa Szewczenkę, to Jezusa, a czasem zegar z wariackim zajętkiem zachęcającym do picia Nesquicka. Po szkołach roznosili je pierwsi obnośni sprzedawcy.

Przyczyną pospiesznej dekomunizacji mogli być amerykańscy uczniowie, którzy przyjechali do nas na wymianę. Nie nosili mundurków, ba, każdy z nich miał dzinsy! Ach, ten krzykliwy symbol zepsutego Zachodu wodzącego na pokuszenie! Mało tego: wszyscy uczniowie musieli tu pisać piórami z atramentem, a jedna z Amerykanek, nieprzyzwyczajona do tak odskulowego ustrojstwa (które dopiero teraz wraca do mody), zamiast ciągle spierać plamy ze spodni, postanowiła zachlapać je całe, i to za jednym razem. Usprawiedliwia ją fakt, że woda we Lwowie była wtedy dostępna tylko od szóstej do dziewiątej rano oraz w tych samych godzinach wieczorem, a pralki automatyczne z pełnym cyklem wydawały się wynalazkiem tożsamym ze statkiem kosmicznym z filmu science fiction.

Ten niesłychanie zuchwały atramentowy manifest był pierwszym ziarnem młodzieżowego buntu,

który ogarnął nas wszystkich. Porzuciliśmy mundurki i z dnia na dzień zaczęliśmy ubierać się coraz odważniej. Ubogie garderoby naszych domów nie oferowały zbyt wiele, nawet gdy sięgaliśmy do szaf rodziców. Mimo to stopniowo odchodziliśmy od kanonu: brązowa sukienka – biały fartuszek – sztywna marynarka. O pionierskich chustach nie było już mowy. Co ciekawe, ciało pedagogiczne i dyrekcja szkoły przyjmowały te zmiany bez oporu, a nawet bez komentarza. Chyba sami nauczyciele czekali, by ta fala wolności poniosła ich samych gdzieś daleko od znanego im świata. Zmęczeni sowieckością, chcieli się z niej wyrwać. Kto wie, co dokuczało im bardziej: nieopisany dyskomfort życia codziennego, nocne kolejki po wszystko, kłamstwa systemu czy brak zaufania między ludźmi. Przeciętą egzystencja sowieckiego obywatela była nie do zniesienia, niezależnie od wieku i zawodu. Kryzys sięgnął zenitu.

Tamtego lata, tak samo jak przez kilka poprzednich wakacji, nasz dom odwiedziła koleżanka z klasy mojej mamy, od dziesięciu lat mieszkanka NRD. Gdy wraz z mężem spędzali dobę czy dwie na kolejnych przejściach granicznych, ich pięcioletnia córka wygodnie spała w przyczepce kempingowej ciągniętej przez pomarańczowego wartburga. To było coś! Parkowali ją bezpiecznie na naszym zamkniętym podwórku. Ta śnieżnobiała kapsuła, wyposażona we wszystkie potrzebne człowiekowi sprzęty, wydawała mi się idealnym połączeniem schronienia przed ciężkimi czasami i wahadłowca, a może nawet portalu przenoszącego do lepszego życia.

Cudowny charakter przyczepki potwierdzał fakt, że za jej eleganckimi drzwiczkami, niby w czarodziej-skiej skrzyni, znajdowały się zapasy gumy do żucia Wrigley's i czekolady Milka. Te atrybuty wystarczały, żebym bezsprzecznie uwierzyła, że tam, skąd przyjechał ten przenośny dom, świat jest lepszy i ludziom pięknie pachnie z ust. Potwierdzały to katalogi OTTO. Oczywiście nie mogliśmy z nich niczego zamówić, ale te broszury same w sobie były dla nas wspaniałym prezentem. Pamiętam zapach ich kart, jednakowe modele ubrań w ośmiu kolorach (szaleństwo!), koronkową bieleznię oraz masażery do piersi – strony z nimi często znikwały, gdy pożyczyliśmy komuś katalog.

Temat zjednoczenia Niemiec coraz częściej wpływał w naszych rozmowach. Pamiętam, że pewnego razu naszym przyjaciółom wymknęło się coś o bezsensie oddzielania się republik radzieckich od Moskwy, w czasach, gdy Europa starała się likwidować granice. Tak mogli myśleć tylko ludzie, którzy nie doświadczyli przez wieki toksycznych praktyk imperialnej Rosji. Odpowiedź była tak naprawdę banalna: my też chcieliśmy zjednoczyć się z Europą, ale najpierw potrzebowaliśmy zdobyć wolność dla siebie.

Swoją drogą granice powoli zaczynały się otwierać, przybliżając nas do pokus zachodniego świata. Pewnego razu mój dziadek wsiadł do swojej żółtej łady i ruszył w prawdziwego eurotripsa. Mur już upadł i można było wybrać się nie tylko do Galerii Drezdeńskiej, ale także odwiedzić sklepy z AGD w Berlinie Zachodnim. Dziadziuś wymienił wszystkie swoje oszczędności na marki niemieckie i kupił magnetowid. Samo

opakowanie ze słoniami i żyrafami na sawannie robiło wrażenie.

Kilka prób podłączenia sprzętu do naszego telewizora nie przyniosło efektu. Wideo trafiło z powrotem do pudełka. Czasem się boję, że słonie i żyrafy wyrwą się z babcinego schowka, tak jak to było w *Jumanji*. Możliwe, że nadszedł czas, by sprzedać tę czarodziejską skrzynkę nowemu pokoleniu koneserów vintage’u, którzy chcieliby przejrzeć domowe archiwa wideo, zaczynając od trzygodzinnego VHS-u z wesela rodziców (na Instagramie można już dodać znany z tamtych czasów efekt lekkiego śnieżenia i trzęsącego się ekranu). Na takim sprzęcie dobrze oglądałoby się *Good bye, Lenin!* czy *Życie na podłuchu* – to dopiero byłoby immersyjne doświadczenie! Można byłoby nawet pokusić się o odtworzenie atmosfery nielegalnych wideoklubów, na których dorobiło się kilku znanych ukraińskich polityków oraz wielu małych i dużych przedsiębiorców.

Tymczasem ja, swoimi dziecięcymi oczami, śledziłam procesy nazwane później walką narodowo-wyzwoleńczą, obalaniem imperium i dekolonizacją. Pamiętam rewolucję na granicie, czyli głódówkę studentów na placu Rewolucji Październikowej w Kijowie, który nie nazywał się jeszcze Majdanem Niepodległości. Był też łańcuch jedności, który w czasach przedcyfrowych zademonstrował solidarność i niezwykle zdolności koordynacyjne Ukraińców. W grudniowy dzień setki tysięcy ludzi chwyciło się za ręce i utworzyło żywy łańcuch o długości pięciuset kilometrów, ciągnący się z zachodu na wschód mojego kraju. Do dziś w rodzinnym albumie trzymam czarno-białą foto-

grafię moich rodziców: stoją gdzieś w połowie drogi od nas do Kijowa, pod Żytomierzem, w niedopasowanym do pogody obuwiu, z przemarzniętymi nogami.

Ówczesna sztuka zyskała dzięki swojemu akcjonizmowi. Nie dotknęła jej jeszcze monetyzacja – a gdy pieniędzy nie było, artyści zwyczajnie o nich nie myśleli, nie potrzebowali budżetu zaplanowanego z dwuletnim wyprzedzeniem. Zdarzały się potknięcia, ale częściej dochodziło do sukcesów: działań feerycznych, fantasmagorycznych i niespotykane energetycznych. Dopiero teraz sobie uświadamiam, jakie miałam szczęście, gdy w wieku dwunastu lat mogłam uczestniczyć w powstawaniu nowej ukraińskiej literatury, muzyki i performansu. Mojemu dojrzewaniu towarzyszyły tak wyjątkowe wydarzenia jak Festiwal Wywych, występy Bu-Ba-Bu w Cyrku Lwowskim, pokaz sztuki Chrysler Imperial w Operze i koncerty złotego składu rockowej grupy Mertwyj Piweń w Teatrze Kurbasa.

Te nazwy niewiele mówią dzisiejszej publice, nawet ukraińskiej. Artyści lat dziewięćdziesiątych. nie weszli do masowej kultury, nie przebili się w przestrzeni informacyjnej okupowanej przez rosyjski show-biznes. Dla nas, wtajemniczonych, ich działalność była jak przepiłowywanie – nawet jeśli robiło się to pilniczką do paznokci – liny holowniczej lodołamacza ciągnącego na siłę nasz statek na arktyczne wody, ku wiecznej zmarzlinie. A my chcieliśmy pływać po ciepłych morzach, ku wymarzonym portom Europy! To ona była dla nas mirażem, snem, głównym elementem zbiorowego mitu o dobrobycie, kuszącym zaciszem, schronieniem urządzonym według katalogów, książek i filmów, jakże



GOODBYE LENIN

Back to school collection 1989



F
E
D
C
B
A



innych od szarej codzienności splugawionej komunalną sowiecką bylejakością.

Miasto, w którym dorastałam – Lwów – pełen architektonicznych perełek czasów Franciszka Józefa, oferował mi iluzję wiedzy o pokusach życia burżuazji i kształtował moje standardy europejskiej estetyki. Podróżowaliśmy tylko ze wschodu na zachód, nawet jeśli zbaczaliśmy na południe lub północ. Chodziło bowiem o kierunek polityczny, a nie klimatyczny. Przekroczenie zachodniej granicy, leżącej jakieś sześćdziesiąt kilometrów od nas, było naszym najgorętszym marzeniem. Drogę do niego poprzedzały tygodnie poniewierania w konsulacie z niezliczonymi arkuszami dokumentów w tle.

Po raz pierwszy przeszłam ten portal w 1993 roku. To był cud, zważywszy na to, że gospodarka była pogrążona w kryzysie, a rodzice nie dostawali wypłat przez miesiące. Cały autobus uczniów przetoczył się przez Europę i w Belgii wjechał na prom do Anglii. Przez jego szyby nie mogliśmy dostrzec zbyt wiele, więc poziom życia w poszczególnych krajach oceniałam, patrząc na stan toalet na stacjach benzynowych. Gdy pachniało ładnie, a w kranach płynęła ciepła woda – oznaczało to, że przekroczyłam portal do lepszego świata. Przez wiele lat Zachód kojarzył mi się z mdłym odorem fast foodów, które pojawiły się u nas dopiero kilkanaście lat później (i nie od razu zrozumieliśmy, że nie ma się z czego cieszyć).

Wróciłam po miesiącu, odmieniona: napojona colą i sokiem pomarańczowym, w modnych ciuchach, z marzeniem o parze butów firmy Dr. Martens. Rodzice

stanęli na głowie i dostałam je w prezencie na czternaście urodziny. Krocząc w glanach po lwowskim bruku, myślami przenosiłam się do Wiednia i Pragi – na ulice z pocztówek, obrazka wpisanego w moje naiwne wyobrażenia o najbardziej europejskiej Europie.

Nie tylko ja byłam tak łatwowierna. Gdy do sklepów i restauracji zaczęły docierać towary z importu, znakiem jakości stał się prefiks euro-, mimo że wiele z takich precjozów pochodziło z Chin albo Turcji. Tę częśćkę dodawano do wszystkiego: był euroremont (jak się później okazało, mieszkania odnowione w taki sposób wcale nie wyglądały jak paryskie czy szwedzkie), europralnie, eurotrawniki i eurobazary. Odświeżone, pomazane obrzydliwie jaskrawą farbą, obite białą plastikową boazerią, przyzdobione alabastrowymi lwami i złotymi ornamentami albo imitacjami wodospadów: wystarczyło powiedzieć euro- i już było wiadomo, o co chodzi. Moja intuicja podpowiadała, że coś tu jest nie tak. Logika dodawała, że trzeba pojechać i samej się przekonać, jak wygląda prawdziwe euro-.

Już wtedy ukułam powiedzenie: „Po co jechać do Mariupola, skoro jest Barcelona!”. Ten pierwszy toponim moi barcelońscy znajomi poznali, zanim usłyszał o nim cały świat – oczywiście w tragicznym kontekście, jak zwykle bywa z ukraińskimi nazwami miast. W tym czasie sama



nie umiałabym wskazać na mapie Mariupola, inaczej niż Barcelonę. Tam przecież były Vicky i Christina, a w Mariupolu co najwyżej Mała Wiera.

Ta ostatnia była bohaterką filmu z późnego Sojuza. Jego reżyserowi nie chciało się już upiększać rzeczywistości. Poszedł dość daleko w przekraczaniu granic moralnych: pokazał pierwszą w sowieckim kinie scenę seksu. Tylko wyszło mu zupełnie nieseksownie. Nie lubiłam Wiery, czułam do niej odrazę, szczególnie na widok konserwy na stoliku obok metalowego łóżka, którym Wiera o sterczących piersiach bujała podczas swoich harców, tego protestu przeciwko pozycji misjonarskiej. I w tych warunkach ona jeszcze chciała mieć dziecko! Czułam ten blaszано-rybny smród szprotów w pomidorach. Hiszpańskie sardelki nigdy tak nie cuchnęły, nawet gdy jadło się je na chlebie z pomidorem. Barcelońskie dzieci bawiły się wodą z zabytkowych pomp na podwórku, a w Mariupolu o wodociągi zadbano dopiero w trzeciej dekadzie XXI wieku. Francuska firma, która podjęła się uzdatnienia wody, nie odniosła sukcesu: remonty przerwała rosyjska okupacja miasta.

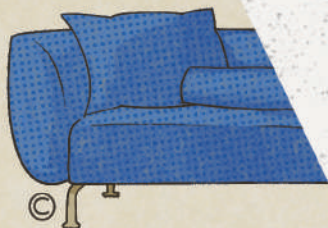
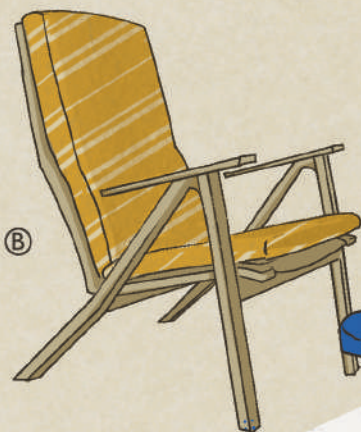
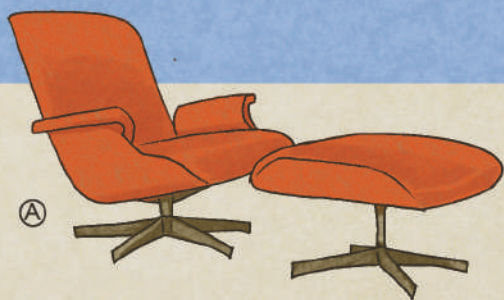
Wtedy nie myśleliśmy jeszcze o wojnie ani o tym, że zawijasy Gaudiego przetrwają dłużej niż kombinat Azowstal. Nie rozumieliśmy, że zaklinanie rzeczywistości w myśl hasła „nigdy więcej wojny” samo nie zadziała. Mieliśmy przed sobą jeszcze kilkanaście beztróskich lat i wierzyliśmy, że będziemy pierwszym pokoleniem przyszłych szczęśliwych, zadbanych emerytów pijących szampana do obiadu na tarasie lub na miejskim placu oraz regularnie grających w tenisa. To

ich obecność była dla mnie wyróżnikiem europejskości. To ich szukałam podczas każdej podróży i zawsze marzyłam, by do Ukrainy zaimportowano właśnie eurostarość.

Wraz z początkiem XXI wieku portalem do moich badań terenowych nad euroseksem stał się Kraków. Najpierw jako punkt docelowy, a później, gdy w 2007 roku Polska weszła do strefy Schengen, jako port tranzytowy, najbliższe lotnisko z tanimi liniami lotniczymi. Trzeba było tylko przejechać granicę. Właśnie wtedy poznałam sztukę manewrowania między różnymi przejściami granicznymi. Przy takich okazjach obserwowaliśmy przemytników, cwaniaków z okolicznych wsi, którzy szmuglowali do Europy alkohol i papierosy, a z powrotem wieźli towary przeznaczone dla swoich małych biznesów.

Najbardziej podobali mi się dwaj bliźniacy działający na wzór zająca i żółwia ze słynnej bajki. Jeden odpowiadał za przerzut towarów po stronie polskiej, drugi – po ukraińskiej. Lokalsi jak mróweczki kursowali między europejską strefą wolnego handlu a gospodarstwem bliźniaków, przerzucając opony samochodowe, mięso, podpaski, AGD, cebulę, środki czystości i swetry męskie. Rozładowywali nawet całe przyczepy butów. Spotykało się tam u nich wiejskie babcie w kolorowych chustach niosące na plecach sportowe rowery. Cały ten kram bezwstydnie zrzucano na błotniste podwórze braci. Jeden z nich czuwał nad interesem, otoczony stadem indyków, ze zwitkiem zmiętych banknotów w jednej dłoni i z kluczykami od starego auta, którymi kręcił na palcu drugiej dłoni.

TAKE A REST YOU DESERVE



ЄВРОРЕМОНТ

- гіпсокартон
- електрика
- плитка
- опалення
- стяжка
- штукатурка
- шпаклівка
- натяжна стел

+380

+380

Pewnego razu trafiłam na pokład ich mercedesa sprintera, bo to był najszybszy sposób przedostania się na drugą stronę granicy. W aucie odbywał się minipiknik z koniakiem, czekoladkami, młodymi ogórkami i pomidorami. Kierowca, trzymający na kolanach pięcioletka kręcącego kierownicą, pociągnął z butelki, nacisnął na gaz i ominął całą kolejkę. Papierosy kurzyli wszyscy oprócz chłopca. Nagle przed maskę wybiegła wściekła strażniczka, ale gdy się okazało, że jest koleżanką kierowcy z czasów szkoły, ten wyszczerzył złote zęby, a następnie zaproponował jej koniak i czekoladę. Funkcjonariuszka filuternie, z udawaną złością, pogroziła nam pięścią. Po chwili znaleźliśmy się po polskiej stronie pośród złotych łąków rzepaku z tabliczką „na sprzedaż”. Ekipa z busa powyciągała ze skrytek kartony papierosów i przerzuciła je do bagażnika osobówki, która pojawiła się znikąd i zanim zniknęła, podwiozła mnie na dworzec w Przemyślu.

Nigdy nie miałam mapki-zdrapki do oznaczania swoich podróży, ale moja przygoda z Europą i Europejczykami była niezwykle dynamiczna. O ważność wizy Schengen dbałam bardziej niż o wizyty u lekarza. Zazdrościłam ludziom, którzy na międzynarodowej studenckiej imprezie niewinnie pytali, czym jest „Schengen”. Też chciałam tak beztrudnie jeździć sobie po kontynencie, bez zwracania uwagi na granice, bez kolekcjonowania dokumentów potwierdzających, że po drugiej stronie będzie miał kto o mnie zadbać i że wrócę do swojej ojczyzny.

Wielkie sieci handlowe nie działały jeszcze w moim kraju, a wiszące nad nami widmo katalogu

OTTO szeptało do ucha, że za granicą wszystko jest lepsze i każdy zasługuje na szafkę z Ikea. O ile w utworach europejskich pisarzy scena z parą montującą meble z tego sklepu jest metaforą związkowej rutyny, to w ukraińskiej literaturze tego okresu ma ona pokazywać wspólnotową euforię związaną z pozbyciem się obrzydłej radzieckiej przeszłości. Od pewnego momentu Polacy ułatwili nam dostęp do tego doświadczenia, wprowadzając wizy zakupowe – widocznie doszli do wniosku, że wizyty Ukraińców zasilają budżet ich państwa. W związku z tym rozkwitł cały przemysł centrów wizowych zaspokajających nie tylko potrzeby konsumpcyjne, ale także kulturalne, turystyczne i towarzyskie. Ruchu bezwizowego doczekaliśmy się dopiero w 2017, ale podróżowanie stało się łatwiejsze już od 2011 roku, lecz tylko dla mieszkańców zachodnich obwodów Ukrainy. Pierwszą wizę zakupową dostawało się na tydzień, trzeba było wrócić z porządnym paragonem, wtedy Polacy dawali od razu wizę półroczną. To tylko zainspirowało przedsiębiorczych Ukraińców z pogranicza do półlegalnego handlu i zarabiania na meblowaniu mieszkań od Czerniowców po Donieck.

Granica nadal pozostawała znaczącą przeszkodą dla szybkich spotkań i spontanicznych wypadów. Przyzwyczailiśmy się do mierzenia kolejek w godzinach, każdy wyjazd był loterią. Pewnego razu, wracając z siostrą do domu, zgarnęłyśmy dwóch niemieckich autostopowiczów pragnących zwiedzić Ukrainę. Najpierw zdziwili się, że na granicy trzeba czekać dłużej niż dwadzieścia minut. Potem okazało się, że nie zabrali ze sobą paszportów, mieli tylko dowody oso-

biste – musiała więc wystarczyć im Polska. Tamtym razem przejechałyśmy na ukraińską stronę dość prędko, zamiast Niemców wioząc dwie tuje dla drobnych przedsiębiorców z sąsiedniego auta – okazało się, że przepisy pozwalały na wwiezienie jednego drzewka na osobę.

Zdarzały się też mniej wesołe historie: pewnego razu skrupulatna polska strażniczka zauważyła, że pół roku wcześniej jej austriacka odpowiedniczka była niezbyt dokładna i nie postawiła mi pieczętki potwierdzającej wyjazd ze strefy Schengen. Za tak poważne przewinienie zostałam zatrzymana ja. Strażnicy musieli skończyć oglądanie filmu, zanim sprawdzili maila z moimi kartami pokładowymi. Pięć godzin zajęło udowodnianie, że wyjeżdżałam z Schengen tyle razy, ile do niej wjeżdżałam. Najlepszym tego potwierdzeniem był fakt mojej obecności w konkretnym pokoju na konkretnym przejściu granicznym. Oczywiście, mój samochód był po dach wypchany szafkami z Ikea.

Gdy sama nie jeździłam do Europy, Europa przyjeżdżała do mnie. Couch-surfing zastąpił mi doświadczenie Erasmusa i wspólnotowy charakter studenckich mieszkań w Wiedniu i Berlinie, do których nie miałam dostępu podczas studiów. Poznawałam ludzi z całego świata i odwiedzałam ich



mieszkania pełne drobiazgów opowiadających o życiu gospodarzy oraz ich poprzedników. Detale, historie rodzinne, kulinaria, fotografie i książki na toaletkach – to były puzzle mojej europejskiej układanki mówiące o szczęśliwych i tragicznych losach, o centrach i peryferiach, traumach oraz poczuciu winy za dzieje lub jego braku.

Ludzie, z którymi beztrąsko plotkowałam sobie przy piwie, mieli różny background: jedni trwali ze względu na tchórzliwość i oportunizm poprzednich pokoleń, drudzy mogli istnieć dzięki ich odwadze, duchowi walki i otwartości na innych. Europa nigdy nie była jednolita, jednoznaczna i jednowymiarowa. Była galerią portretów: wielu z jej bohaterów stało po dwóch stronach barykady, ale współcześnie jej mieszkańcy próbowali tworzyć wspólną przestrzeń i zgodną narrację. Czasem efekty ich działań były konstruktywne i namacalne, a niekiedy przypominały pokraczny miraż.

W tamtym okresie zawierałam wiele znajomości – zarówno przelotnych, jak i trwałych. W 2011 roku wybrałyśmy się z siostrą na wycieczkę samochodową, nieco różniącą się od wyprawy naszego dziadka po wideo w 1993. Nie jechałyśmy na poszukiwanie sprzętowych nowinek. Ruszyłyśmy w eurotripa, a w kolejnych punktach zatrzymywałyśmy się u ludzi, którzy wcześniej odwiedzili nas. Byli wśród nich studenci z Cieszyna, miasteczka symbolicznego dla historii europejskich podziałów i zjednoczeń. Rzeka Olza przecina to miasto na dwie części, polską i czeską. Jego nazwa brzmi prawie tak samo w obu językach (z poprawką

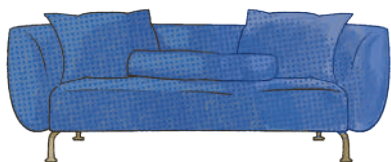
na ich fonetyczne osobliwości), ale zapisywana jest w inny sposób: Cieszyn i Těšín. Gdy widzę, jak słowiańskie alfabety łacińskie oddają w piśmie dźwięki nieistniejące w angielskim – a takie pojawiają się w moim imieniu i nazwisku – to żałuję, że nie mogę używać tych ogonków i dzióbków przy transliteracji na język Szekspira.

Czechy znacznie liberalniej podchodziły do kwestii narkotyków niż Polska – a mimo to ruch między Cieszynem a Těšínem odbywał się swobodnie. Przez pięć godzin naszego pobytu w tamtym mieście nikomu nie przyszło do głowy, by zawracać nam głowę pieczętkami w paszporcie. Takiej rozkoszy nie zazналиśmy, nawet gdy Polska i Ukraina wspólnie organizowały piłkarskie EURO 2012. Mimo dokuczliwych kontroli granicznych wydarzenie to pokazało nasze dobrosąsiedztwo i otwartość na gości. Nie byle jakich – bo kibiców piłkarskich. Mistrzostwa były okazją do otworzenia nowiułkich terminali na lotniskach, które już niedługo miały doczekać się swoich tanich linii lotniczych.

Tuż przed jednym z meczów zrobiłam swoje najlepsze zdjęcie z kategorii fotografii ulicznej. W kadrze

uchwyciłam duńskiego kibica – oszalałając pięknego, rosnącego mężczyznę w hełmie wikinga – całującego w policzek lwowską damę, która przyjechała obejrzeć to szaleństwo na własne oczy. Kobiątka mruży oczy i promienieje od szczęścia, a i wiking jest całkiem zado-

*TAKE A
REST YOU
DESERVE*



BON VOYAGE

ПОЛЬСЬКІ ВІЗИ

СТРАХУВАННЯ

ВІЗИ В ЧЕХІЮ
ЛІТВУ

ШЕНГЕН ЗА 3 ДНІ

**ШЕНГЕНСЬКІ
ВІЗИ НА**

США
КАНАДА
АНГЛІЯ



ВІЗИ
ЗАПРОШЕННЯ:

робочі 360/180
від Воєводи 360/360
бізнесові для шенген віз

підготовка всіх необхідних документів, страхування
Термінова реєстрація у візові центри

ПАСПОРТ УКРАЇНИ
PASSPORT UKRAINE

wolony. Uroku dodawał mu czerwony makijaż z białym krzyżem na całą twarz i taki sam wzorek na paznokciu małego palca, figlarnie wyciągniętego w kierunku obiektywu. W innych okolicznościach mężczyzna pewnie nie zrobiłby na mnie aż takiego wrażenia, ale wtedy ogarnęła nas zbiorowa euforia.

Symbole mistrzostw pozostały w wielu naszych miastach. W Kijowie po obozie szwedzkich kibiców na wyspie Truchanów została śmieszna rzeźba, a wiele miejskich klombów do dziś zdobi większe czy mniejsze pomniki piłek nożnych. Ciekawe, czy takie figurki przetrwały też w Doniecku? Czy może władze, narzucone przez rosyjskich okupantów po 2014 roku, zniszczyły je jako szkodliwe symbole Europy? Tak się stało z rzeźbami w centrum sztuki współczesnej Izolacja zamienionym na więzienie, w którym stosuje się tortury. Nigdy nie byłam w Doniecku, ale wierzę, że te piłeczki doczekają się wyzwolenia, tak jak lotnisko z nowym terminalem otwartym w 2012 roku i zburzonym do cna na początku wojny w 2014. Liczę, że i tam zostanie kiedyś wznowiony ruch, tak jak w innych portach lotniczych Ukrainy.

Moja przyjaciółka pochodząca z Ługańska, a dziś mieszkająca w Berlinie, w tym krótkim okresie między 2012 a 2014 zdążyła zabrać rodziców w wymarzoną podróż po Włoszech. Uwielbia wspominać te sceny jak z filmu: jej tatę, prostego robotnika, siedzącego za kierownicą rozklekotanego zaporozca, wstępującego po drodze na lotnisko do starych przyjaciół, robiącego sobie zdjęcie przy kabriolecie Porsche na sklepowej wystawie, znajdującego wspólny język z ka-

tolickim zakonnikiem podczas rozmowy o technologii destylowania alkoholu. Koleżanka jeszcze przed wybuchem wojny w 2014 roku pomogła rodzicom w przeprowadzce do Irpienia, miasteczka leżącego pod Kijowem. Świat nie usłyszałby pewnie tej nazwy, gdyby nie inwazja Rosjan na naszą stolicę w 2022 i zdjęcia ludzi kryjących się pod wysadzonym mostem (wspominałam już o naszych toponimach wpływających w tragicznych momentach). Dziewczyna musiała ewakuować rodziców z kolejnego domu – ten na szczęście został wyzwolony przez ukraińskich żołnierzy dość szybko, co dało rodzinie możliwość powrotu.



Niecały rok przed wybuchem wojny, której nikt w Europie się nie spodziewał (bo przecież „nigdy więcej!”), urodziła się moja córka, pół Ukrainka, pół Francuzka, made in Budapest, born in Lviv, raised in Lviv, Kyiv, Brussels and Lviv again. W listopadzie 2013 roku postanowiłam wyrwać się z nią do ciepłych krajów – i poleciałam do Barcelony.

W Kijowie wybuchł wtedy Euromajdan – pierwsze zjawisko, przy którym użycie prefiksu „euro” miało głębszy sens. Wszystko zaczęło się od protestów studenckich na rzecz eurointegracji Ukrainy. Gdy władza próbowała je rozpuścić, demonstracje przerodziły się w Rewolucję Godności – przecież w Ukrainie organizujemy takie imprezy raz na dziesięć lat, żeby dokończyć to, co zaczęliśmy poprzednio.



Spacerowałyśmy z córką po plaży miejskiej w Barcelonie, wózek grzązł w wilgotnym, chłodnym piasku, a ona po raz pierwszy dotykała morskich fal. Wtedy jej tato przeczytał, że w Kijowie obalono pomnik Lenina. Dekomunizację mojej szkoły i centrum stolicy dzieliło dwadzieścia sześć lat. Pozbycie się idola to nie jest prosta sprawa, szczególnie gdy nie do końca wiadomo, czym wypełnić pustą przestrzeń po nim: zarówno fizyczną, jak i duchową. Usuwanie złogów sowieckości czasami skutkowało przemyślaną formą artystyczną, a niekiedy popadało w kicz. Postumenty po radzieckim wodzu były wypełniane przez hetmanów i kozaków, a z przetopionych pomników odlewano Szewczenków i mistrzów olimpijskich. Połączane, poobijane, niebie-

sko-żółte, pozbawione głów, z twarzą w błocie, osprejowane – Leniny służyły jako manifest polityczny, eksponat muzealny lub surowiec wtórny. Budowano wokół nich intrygi i snuto kryminalne historie. Leżały w lasach i na złomowiskach.

Bywało też tak, że wyrzucony na śmietnik historii sowiecki bożek zostawał krasnałem ogrodowym albo podpórką pod rury kanalizacyjne. Tylko czasem rzeźby trafiały jako dekoracje do mieszkań czy kawiarni. Taki los spotkał rozbitą głowę Lenina z kijowskiego placu Besarabskiego: zrobiono z niej instalację artystyczną przedstawiającą pająka stojącego w kącie mieszkania jednego z naszych polityków. Ojciec komunizmu, który zrobił wiele, by sto lat temu nie powstało niepodległe państwo ukraińskie z rodzimymi elitami, wreszcie dostał za swoje. Chociaż trochę.

Rewolucja Godności była trzecim tego typu wydarzeniem w naszej współczesnej historii (wcześniej była Rewolucja na Granicie z 1990 roku i Pomarańczowa z 2004), jednak w 2014 po raz pierwszy zobaczyliśmy ofiary wśród pokojowych demonstrantów. Rosyjscy dyrygenci tej zbrodni chwilę później wywołali otwartą wojnę, chociaż propaganda robiła wszystko, by przez osiem lat, aż do inwazji na pełną skalę, przekonać wszystkich, że „nie ma ich tam”.

Gdy byłam w ciąży, nie mogłam przewidzieć, że wojna będzie towarzyszyć dorastaniu mojej córki. Na szczęście nie widziała jej na własne oczy, ale czuła ją cały czas, gdziekolwiek byśmy nie mieszkali. Na dodatek pojawiła się też pandemia. Jako introwertyczka całkiem nieźle wspominam ten czas ciszy i spokoju –

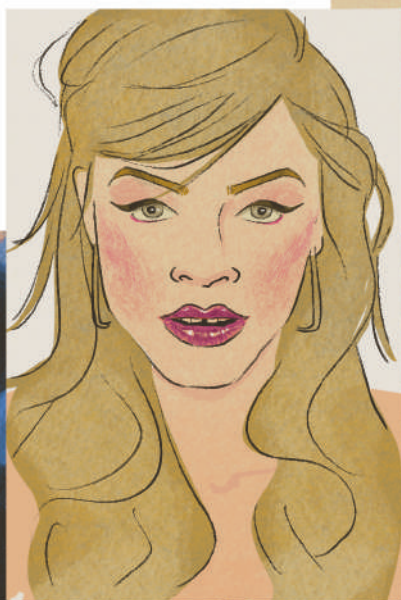


nawet jeśli był on wymuszony. Gdy pojawił się COVID, mówiono, że wirus łatwo przenosi się na metalu. Przyszła mi wtedy do głowy naiwna, może absurdalna, myśl, że dotykanie broni stanie się niebezpieczne i nikt więcej nie weźmie jej do rąk i nikt nie pomyśli, by strzelać do cywilnego samolotu z dwustu dziewięćdziesięcioma ośmioma pasażerami na pokładzie, którzy nieostrożnie kupili bilety na podróż nad strefą działań wojskowych – nad wojną, choć świat bał się nazywać ją w ten sposób, uznając ją za lokalny konflikt terytorialno-etniczny. Tak było łatwiej, również mnie samej.

Moja babcia urodziła się w 1940 roku. Całe dzieciństwo sądziłam, że powoływanie dzieci na świat w czasie wojny jest nierozważne, wręcz idiotyczne. Dlatego też sama, przez długi czas, bałam się nazywać wojnę po imieniu. Nawet gdy tuż przed rosyjską inwazją w 2022 roku oglądałyśmy z córką film *Gdzie jest Anne Frank*, nie mogłam, a może nie chciałam myśleć, że coś podobnego przeżyje niedługo wiele ukraińskich dzieci. Szybko zrozumiałam, że już na zawsze straciłam rozkosz bezwarunkowej bez troski zbudowanej na wierze w wieczność pokoju w Europie.

Kiedyś pokój trwał wszędzie, nie trzeba było go nazywać. Smutek, chuligaństwo, złośliwe dowcipy, frustracja, zuchwalstwo, zazdrość, irytacja, prokrastynacja i neurozy – wszystko było pokojem. Tak samo jak

Makeup trends 2014



wizyty u dentysty, oblane egzaminy, wnioski urlopowe, dramaty miłosne, przerażające choroby, nieunikniona starość, śmierć z przyczyn naturalnych, apokaliptyczne sceny filmowe i makabryczne sztuki teatralne. Dziś, gdy próbuję zainicjować dyskusję o pokoju, maksimum, jakie osiągam, to rozmowa o niewojnie (tak więc mimo wszystko – o wojnie).

Dzisiaj uśmiech jest wojną, spacer po wybrzeżu, eksperymenty seksualne, wyczyny sławnych szefów kuchni, sybarytyzm i hedonizm – wszystko jest jedną wielką wojną. Obserwuję pokolenie Ukraińców młodszych ode mnie o dwadzieścia lat. Ścisza mi się serce, gdy myślę, że oni zaczynają swoje związki, małżeństwa, studia i kariery, a wreszcie rodzą dzieci – wszystko to robią w czasie wojny. Rozumiem, że hiperinflacja lat dziewięćdziesiątych i lata dzikiego kapitalizmu początku XXI wieku to po prostu piaskownica dla maluchów w porównaniu do tego, co stoi przed współczesną młodzieżą. Małżeństwo wiąże się z ryzykiem nagłego owdowienia, urodzenie dziecka z perspektywą czekającego go sieroctwa.

Rosyjska inwazja 2022 roku zastała nas w Brukseli. Wyjechaliśmy tam we wrześniu 2021 roku, ale nie ze względu na doniesienia amerykańskiego wywiadu. Ja wybierałam takie interpretacje spraw międzynarodowych, w które sama chciałam wierzyć – czyli te, które zapewniały, że wielkiej wojny nie będzie. Prowadziliśmy wygodne i dość urozmaicone życie w Ukrainie, ale chcieliśmy po prostu zmienić klimat i pozwiedzać Amerykę Łacińską, a później zamieszkać w stolicy Unii Europejskiej. Moja ówczesna filozofia zamykała

się w słowach: „twój dom jest tam, gdzie ty” – jak się okazało, to też był przywilej epoki pokoju.

Wielka wojna po raz pierwszy w życiu kazała mi dostrzec ludzi, o których dawniej nie myślałam: rodziców koleżanek z klasy mojej córki, sąsiadów, przypadkowych znajomych. Nigdy wcześniej nie zwracano na mnie uwagi tylko dlatego, że jestem Ukrainką. Fala bezwarunkowego wsparcia i solidarności była dla mnie źródłem siły w pierwszych tygodniach, gdy organizm odmawiał snu, jedzenia, kawy i alkoholu, a przyjmował jedynie coca-colę, symbol tego nieosiągalnego dobrobytu z lat dziewięćdziesiątych. Wojna wzbudzała nie tylko współczucie, ale także zainteresowanie moją osobą, na co nie byłam do końca gotowa. Jestem eskapistką, w reakcji na niebezpieczeństwo nieruchomości i niechcący wpadam w letarg. Życie nie przygotowało mnie do walki i płomiennych przemów, zazwyczaj wystarczała mi fakt, że nikt nie zadawał mi pytania, czy Ukraina leży w Rosji. Zawsze myślałam, że piszę, żeby nie musieć mówić. Dziś na wszystkich moich słowach, niezależnie od ich formy, ciąży odpowiedzialność nie do uniesienia (choćaby w tym tekście, gdzie staram się przestrzegać zasad ortografii i pisać „Rosja” z wielką literą, ale mój palec wzdraga się przed przyciśnięciem „shiftu”, choć wygląda to na zemstę za bezsilność).

Zrozumiałam, że mój mit Europy był opowieścią o beztrosce – i to również okazało się mirażem. Pewnej niedzieli o 12:15 weszłam do sklepu Picard na ulicy Vanderkindere w Brukseli. Mrożonki to jedna z wielu drobnostek, która zachęcała mnie do życia tutaj. W Europie Zachodniej czuję, jakbym uzupełniała bra-

ki z czasów mojej młodości. Zawsze podobało mi się obserwowanie młodych chłopców w czystych tramwajach czytających książki na aktualne tematy, chociażby „Race, class, ethnicity, sexuality – when it became an issue”, czy też idących w niedzielny poranek na Festiwal Świadomego Porno. Po tym wszystkim można wpaść do Picarda, bo mimo wielkiego wyboru świeżej, zdrowej żywności w hipsterskich restauracjach Kijowa mrożonki są moim starym fetyszem i niewyleczoną traumą z lat dziewięćdziesiątych. Tak więc kupiłam sobie mrożone ragu, kacze nóżki, pierogi z borówkami, kilka przekąsek i ciasteczka. Ilustracje z opakowań rozbudzały moją wyobraźnię, czułam się jak mama z filmu *Prywatka 2* (kultowego w późnym ZSRR, podobno bardziej niż w samej Francji). Sprzedawca biegł do mnie przez cały sklep, chuchając na zmarznięte dłonie, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Wszystko pasowało do sceny filmowej dziejącej się w mojej głowie.

– Uderzył się pan? – spytałam uprzejmie, zaczynając small talk według francuskich zwyczajów.

– Tak, w kolano – poskarżył się zgodnie z zasadami klasyki gatunku.

– No cóż, fajrant już blisko – pocieszałam go. – Ledwo zdążyłam, bo inaczej umarłabym z głodu – powiedziałam, zadowolona z dowcipnej repliki.

– Ale ja pracuję i jutro, i pojutrze. Taki to fajrant, takie życie... – narzekał kasjer i raptem zmienił temat: – Skąd pani pochodzi?

– Z Ukrainy – odparłam mimochodem, bo nie chciałam robić wokół siebie szumu i burzyć iluzji odnoszącej się do mojego wizerunku. Następnie starannie

przyłożyłam palec do telefonu z aplikacją ApplePay, żeby pieniądze ulokowane gdzieś w strefie aktywnych działań wojennych mogły bez problemu wpłynąć na konto sklepu. Transakcja się udała, co wydaje mi się magią rodem z zaświatów.

– Cool – odruchowo rzucił sprzedawca, z francuskim „l” na końcu.

Koniec small talku. Ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, co dalej. Moja koleżanka, ukraińska reżyserka i poetka, jeżdżąca na różne międzynarodowe imprezy, przeżyła wiele small i big talk’ów z różnorodnymi rozmówcami i w jednym ze swoich wierszy nazwała taką sytuację efektem kostiumu trumny. Gdy w towarzystwie powiesz, że jesteś z Ukrainy, czujesz się, jakby zarzucili ci na plecy przebranie postaci z kreskówek, ale nie SpongeBoba ani gigantycznej pandy, tylko trumny. Może i jest śmiesznie, może sympatycznie, ale zbyt dosłownie mówi to o śmierci.

Jestem świadoma, że sama zbudowałam ten miraż, taki sobie prywatny park Mini-Europa. Nie chciałam go tracić. Dokupowałam do niego kolejne elementy. Takim odkryciem był sklepik na Chaussée d’Alseberg z witryną zastawioną miniaturowymi, malowanymi ręcznie rowerzystami, żelaznymi jeźdźcami na cienutkich kółkach pokonującymi wzgórze i doliny. W środku sklepiku było ich jeszcze więcej, w zestawach po pięć czy siedem sztuk, w towarzystwie paczuszek kolorowych szklanych kulek. Okazało się, że produkują je na miejscu. Na zapleczu znajdowała się niewielka manufaktura. Gdy już się rozejrzałam, podszedł do mnie właściciel: tłuściutki, tysy sześćdziesięciolatek.

– Co pan robi z tymi wszystkimi rowerzystami? – nie powstrzymałam się i palnęłam prosto z mostu.

– Och! Co też pani mówi! To najwspanialsza zabawa na świecie! – odpowiedział z entuzjazmem ośmiolatka. – Należy wziąć jeden zestaw, pójść na plażę i rozrzucić kuleczki po piasku. Nie wyobraża sobie pani, jak nieprzewidywalne są ich trajektorie! Wszystko zależy od oporu, rzeźby terenu i wiatru. Tam, gdzie spadnie kulka, stawia pani rowerzystę. Proszę mi uwierzyć, z takim zestawem nuda pani niegroźna. Z kolegami bawimy się w ten sposób od dziecka.

Mężczyzna nie spytał mnie, skąd jestem. Przez minutę myślałam, że dawny świat może wrócić. Wyobraziłam sobie wydmy północnych mórz, gdzie nawet w sierpniu piasek nie jest tak gorący jak na południu i trzeba się rozgrzewać, biegając za kulkami i rowerzystami. Te figurki stoją tam w szklanej witrynie jak ołowiane żołnierzyki czasów pokoju, starannie wyrzeźbione i pomalowane cieniutkimi pędzlami.

– Gdy nie można jechać na plażę – dodał Belg – a przychodzi chęć na zabawę, można wyciągnąć planszę. Ma metr osiemdziesiąt, sam zrobiłem! Proszę zobaczyć – rozwinął rulon – są różne przeszkody, czaszka oznacza...

I wtedy mój świat rozbija się na kawałki. Oczywiście wyobraziłam sobie pola minowe, kompanię odważnych rowerzystów (niektórych znam z imienia, mamy wspólne wspomnienia) jadących w bój z rosyjskimi żołnierzami, których zabijają gołymi rękami. Nigdy nie bawiłam się w wojnę, ale teraz mam ochotę zagrać rowerzystami na wietrznej wydmie, ale nie



New set of figures

MINI-EUROPE PARK



zdradzam autorowi gry swojego scenariusza, udaję tylko, że słucham, ile kroków do tyłu trzeba zrobić, gdy kulka spadnie na pole z czaszką. Dziękuję mu w myślach, że nie spytał, skąd pochodzę.

Pewnego brukselskiego wieczoru odpoczywałyśmy z córką przed snem. W tle grało duńskie indie, otulające nas bezpiecznie niczym kokon. Moje dziecko ma niezwykle dojrzały gust muzyczny jak na dziewięciolatkę. Przez okno sączyły się ostatnie promienie słońca – gdy pytają mnie, za czym najbardziej tęsknię, to bez wahań mówię, że właśnie za tamtejszym światłem, czystym i ostrym, przenikającym człowieka w okamgnieniu jak rentgen. Malowniczy zachód słońca grał wszelkimi barwami pomarańczy i różowości. Idylla. Jeśli istnieje rajskie światło – to na tych szerokościach geograficznych objawia się ono w czerwcu. I nagle moja córka rzuciła:

– Muszę wyrzucić tę piosenkę z playlisty.

– Znudziła ci się? – zdziwiłam się.

– Nie, po prostu słuchałam jej długo w styczniu, przed tym, jak się zaczęło. Pamiętasz nasze szczęśliwe dni? – Westchnęła, jakby nie miała dziewięciu lat, tylko dziewięćdziesiąt.

Piosenka dograła do końca.

– Wiesz, bańka „przedwojnia” już pękła. Już nie będę tym samym bez troskim dzieciakiem. Przykro mi, gdy coś mi o tym przypomina – powiedziała i nacisnęła: „usuń”.

Niedługo potem postanowiłyśmy wrócić do Ukrainy.

Jedenaste urodziny moja córka obchodziła we Lwowie.

Czuję, że sprawy zatoczyły koło. Nadal pragniemy zjednoczyć się z Europą, ale najpierw musimy zdobyć swoją wolność.

Makeup
trends 2014

Andrzejki

Eugenia Kuzniecowa

Na ulicy, na której mieszkała babcia Kateryna, Jana dowiedziała się, że piec to portal do zaświatów, że duchy zmarłych błakają się w Wigilię pod oknami, że rozplatanie warkoczy narzeczonych ma swój osobny rytuał i że można wróżyć ze szczekania psów na zimę. Około dziesięciu wywiadów przeprowadzonych w ciągu tygodnia uznała za całkiem przyzwoity wynik. Od tamtego wieczoru, kiedy razem z Maksymem ujrzeni „drogę Świętego Mikołaja”, czyli snop światła reflektora mobilnej grupy antydronowej, i kiedy bojąc się strażów, przykucnęła w śniegu, a Maksym wziął ją za ramiona i powiedział, że to daleko, i przechodząc znów „na pani”, powtarzał w kółko, że „pani w ogóle nie przypomina drona” i że „nad nami jeszcze nigdy nie zestrzelili, wybuchnie tam, gdzie go trafią”, widywali się najwyżej po parę minut przy bramie, kiedy Jana dokąś szła.

„No i dobrze” – myślała, zakreślając kolejny dom na mapie przeprowadzonych wywiadów, podczas gdy rozległo się uporczywe pukanie do drzwi. Częste przerwy w dostawach prądu były jak przenosiny do czasów, kiedy ludzie składali sobie nieoczekiwane wizyty.

– Dzień dobry – powiedział Maksym. W porannym świetle jego zielone oczy świeciły jednostajnym blaskiem.

– Idę do sklepu – odparł. – Wziąć coś dla pani?

Jana stała w polarowej piżamie i narzuconej na wierzch kamizelce. Jak to kobieta, błyskawicznie oceniła swój wygląd i zdała sobie sprawę, że nie jest w najlepszej formie. Maksym był innego zdania, choć właściwie starał się nie myśleć o żadnych formach. Ani Jany, ani niczyich.

– Planowałam sama podskoczyć marszrutką – odpowiedziała.

– W takim razie może się pani zabrać ze mną – powiedział spokojnie Maksym. – No, chyba że jeździ pani marszrutką w ramach badań etnograficznych?

– Tylko się przebiorę. – Jana zniknęła w sypialni.

Na zewnątrz z włączonym silnikiem czekało czerwone renault. Po roztopionym śniegu jechało, prawie nie wydając z siebie szmeru. Maksym wciskał jedynie od czasu do czasu hamulec, kiedy ślizgali się w dół do głównej trasy, na której idealnie wpasowali się w śniegowe tory wyłobione przez jadące w stronę Kijowa ciężarówki.

– Parmezan się skończył? – spytała Jana.

– Wszystko się pokończyło – odpowiedział kierowca. – Tabletki dla ojca... wszystko. W dodatku goście przychodzą, trzeba coś dla nich przygotować. Skrzynkę wina kupić...

– Jacy goście?

– Urodziny mam. Znowu się wszyscy bez zaproszenia zlecą.

– O! w takim razie wszystkiego najlepszego!

– Dziękuję!

– Ile stuknęło?

– Za dużo. Ja nadal czuję się jak piętnastolatek.

- Taki silny i zręczny?
- Nie, taki leniwy i oporny na naukę.
- Cóż, w takim razie raz jeszcze: szczęścia, zdrowia i miłości!
- Dziękuję – uśmiechnął się.
- Niech się spełni pragnienie nas wszystkich.
- Owszem. Wie pani, co mnie boli najbardziej? Że jak Rosja się rozpadnie, to ojciec może nie pamiętać, że w ogóle istniała!
- Może stanie się to akurat w momencie, kiedy ojcu wróci pamięć?
- Tylko czy to w ogóle nastąpi?
- Z drugiej strony – zauważyła Jana – już teraz znajduje się w cudownym świecie bez Rosji.
- Może sobie na to pozwolić – zgodził się z gorzkim uśmiechem Maksym.
- Spod ciężarówek leciały brudne grudy śniegu.
- W supermarkecie pośród praktycznie nieznanym ludzi Jana czuła się nieswojo. Dlatego postanowiła wziąć jedynie neutralne, niewiele mówiące o jej upodobaniach artykuły spożywcze – jakieś pieczywo, ser, jabłka, mleko i płatki. Poza tym sięgnęła po wszystkie składniki potrzebne do wypieku kality – andrzejkowego chlebka, na który przepis dostała od babci Todosi: kwaśne mleko (najlepiej kefir), olej, sodę, mąkę, przyprawy, mak i miód. Dla siebie wzięła marchew i trochę natki.
- Trzyma pani w domu królika? – spytał Maksym.
- Jego wózek był całkowicie wypełniony piwem, mięsem, kiełbaskami i sosami. Wierzch przykryty był stosem chipsów i nachosów.

– Mówiłem, że goście się schodzą – uśmiechnął się. – Pojedziemy jeszcze na pocztę, muszę odebrać wino.

Kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy, zmierzając do samochodu, Jana spostrzegła, że ruch jest zablokowany. Auta zatrzymały się, ludzie zaczęli wychodzić na pobocze. Z apteki wyszły młode kobiety w białych kitlach i kurtkach narzuconych na ramiona, z kiosku zaś sprzedawczyni w kożuszkę z owczej wełny. Jana spojrzała na Maksyma. Ten odłożył najpierw siatki, po czym uklęknął na jedno kolano. Podobnie robili wszyscy, którzy akurat znajdowali się w pobliżu drogi. Jana domyśliła się, że wiozą poległego żołnierza. Szybko postawiła swoje zakupy i również uklęknęła, ale trafiła akurat kolanem na paczkę nachosów, które wypadły z siatki Maksyma. Podskoczyła jak oparzona. Była kompletnie zdezorientowana. Wiedziała naturalnie, w jaki sposób żegna się poległych, ale sama nigdy nie brała w tym udziału, dlatego też w pierwszej chwili nie miała pojęcia, gdzie podziąć zarówno torbę z marchewkami, jak i własne spojrzenie. W końcu wlepiła wzrok w ziemię, na której leżał brudny, przedwczorajszy śnieg. Pośród niego błyszczało opakowanie od chupa-chups. Nie miała odwagi podnieść oczu i spojrzeć na tych, którzy szli za okrytą flagą trumną. Obok westchnęła niemłoda kobieta, której ciężko było klęczeć z powodu płaszcza i obcisłej spódnicy. To w nią wpatrywała się Jana, podczas gdy wokół wybrzmiewała pieśń *Pływe kacza*.

– Ilu jeszcze, ilu jeszcze... – powtarzała sama do siebie kobieta.

Po policzkach Jany zaczęły spływać łzy, które wydały się jej absurdalne w towarzystwie siatek, pokruszonych nachosów, a zwłaszcza Maksyma, z którym chciała zachować neutralność stopnia podstawowych artykułów spożywczych. Tymczasem Maksym chwycił ją na chwilę za rękę i natychmiast puścił.

Po wino jechali w milczeniu. Kiedy zaparkowali, Maksym powiedział:

– A dopiero co mówiła mi Luba: „Oby tylko dzisiaj nie było żadnego wojskowego pogrzebu. To byłby zły znak przed przyjazdem Sławka”.

Jana spojrzała na niego pytająco.

– To mój brat – wyjaśnił. – Jest teraz w wojsku.

– W antropologii nazywa się to myśleniem magicznym – odparła Jana. – Niech Luba wysypie wokół domu mak, to najlepszy sposób na duchy zmarłych. A Sławek nie ma z tym nic wspólnego.

Maksym skinął głową i dodał:

– Cholera, jeszcze to wino. Też sobie znaleźli czas na świętowanie.

– W dodatku jutro mamy andrzejki. Będę piekła kalitę.

* * *

Urodziny świętowano w salonie, z którego poprzez przeszklone drzwi można było wyjść na szeroki drewniany taras i dalej schodami do ogrodu. Tamtym razem to właśnie tu, w salonie na kanapie, Jana ujrzała w świetle latarki czarne koty. Obok kanapy stały dwa duże fotele. Nad oparciem pierwszego – wyściełanego pomarańczową narzutą niczym abażury stojących

lamp – wznosiły się szerokie liście monstery. Drugi miał na swojej narzucie jaskrawe orientalne wzory. Na ścianie wisiał portret ojca Maksyma w białym kitlu. Inny niż ten, który Jana widziała wcześniej w pracowni. Twarz można było odgadnąć, choć czupryna ciemnych włosów była dość myląca. Obok wisiało jeszcze kilka niewielkich pejzaży, dość ponurych, malowanych grubą kreską. Drugą ścianę od samej podłogi aż po sufit zajmowały regały z grubego drewna. Na niższych półkach chaotycznie poustawiano książki o różnokolorowych okładkach, natomiast na górze znajdowały się jednolite tomy autorstwa kogoś, kogo prawdopodobnie nikt nie czytał przez ostatnie trzydzieści lat. Będąc jeszcze uczniem, Maksym czytywał zadane na lato obszerne fragmenty powieści Juliusza Verne’a, ale obecnie pełne przygód historie oraz monotonna paplanina Turgieniewa stały nietknięte. Niektóre półki wyglądały jak szczerbata facjata pierwszoklasisty – najwyraźniej całkiem niedawno powypadali z niej jesieninowie, buninowie i kuprinowie.

Póki u Maksyma trwały przygotowania, Jana cierpliwie ugniatała ciasto. „Aż plecy będą mokre” – jak uczyła babcia Tudosia. Zmęczyła się dość szybko, więc na wszelki wypadek ugniatała trochę dłużej, a gdy ciasto zrobiło się zwarte i elastyczne, dodała ozdoby w kształcie kłosów, ptaszków i kwiatów. Dziurkę w środku zrobiła białym kubkiem z Ikei. W niemal sterylnej białej kuchni pstrokata kalita wyglądała niczym niepożądane ciało obce. Jej wierzch Jana posmarowała miodem i posypała makiem. W piekarniku ptaszki rozpuchły i zrobiły się podobne do Angry

Birds. Chlebek wyszedł jasnozłocisty, można by rzec, niemal klasyczny, gdyby nie te nadęte od sody pie-rzaste stwory. Jana wystawiła kalitę na balkon, żeby wystygła, i zaczęła szykować się na urodziny. Włożyła dżinsy i czarny sweter. Rozpuściła warkocze i założyła kolczyki z czarnymi perełkami, które ładnie wyróżnia-ły się na tle jej jasnych włosów. Już ubrana przewiąza-ła ostygły chlebek czerwonymi wstążkami i udała się do Maksyma.

– Ale cudło! – krzyknęła z zachwytem Luba, która robiła właśnie pastę serową do kanapek. – Takie sobie będzie to święto – zmieniła nagle ton. – Nikt dzisiaj po ludzku nie świętuje.

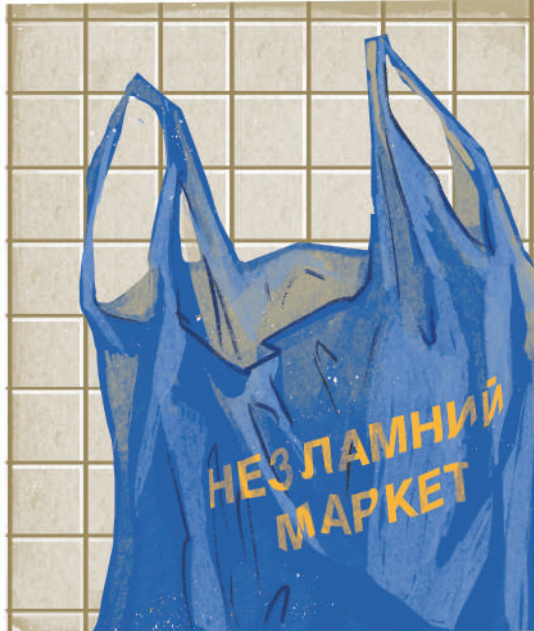
Obok kanapy stał niski stolik, a za nim znajdował się szeroki parapet, który po otwarciu okna można było wykorzystywać jak ladę.

– Tylko zimne naleci – powiedziała Luba, idąc za Janą ze sztuczkami i talerzykiem z pastą. Przez okno było widać Maksyma. Obok niego stał jakiś mężczyzna. Byli do siebie w pewien sposób podobni. Mieli taką samą postawę i obaj wykonywali gwałtowne ge-sty. Obaj też spoglądali na grilla, gdzie magiczna moc ognia zamieniała drewno w węgiel, by ten z kolei prze-mienił surowe kiełbaski w świąteczne smakołyki.

– Brat przyjechał – powiedziała Luba, przeciska-jąc się między Janą a fotelem w kierunku stolika. W rę-kach trzymała tacę z grzankami. – Czy nie było dzisiaj przypadkiem pogrzebu? – spytała.

– Nie, nie było – odpowiedziała stanowczo Jana.

Maksym rano odśnieżył taras. „Niech no tylko spróbuje znowu napadać” – mówił sam do siebie. Po



bokach tarasu uformowały się zaspę. Na schodach prowadzących do ogrodu siedziała kobieta. Pod sobą miała matę do jogi. Obiema dłońmi obejmowała kubek i od czasu do czasu zwracała się do Maksyma i jego brata.

– Jak tu pięknie – usłyszała jej słowa Jana, otwierając drzwi do tarasu. – Przyroda, cisza, śpiew ptaków!

W tle nie było słyhać żadnych ptaków.

– Ptaki odleciały tam, gdzie im cieplej – powiedział Maksym.

– I nie wyłączają prądu – odezwał się drugi mężczyzna podobnym głosem.

– Mówiłam w przerośni. – Kobieta odwróciła się i dostrzegła Janę. – Dzień dobry!

Po chwili Janę zauważył też gość.

– Aaaaaa – powiedział – to musi być ta młoda badaczka, o której opowiadałeś.

Maksym najpierw uśmiechnął się do grilla, po czym podniósł wzrok i rzekł:

– Poznajcie się. To jest Jana, to jest mój brat Sławko, a to – Maryna.

– Maryna, Maryna, miłość moja jedyna... – zaintonował Sława, dotykając metalowym szpikulcem do szaszłyków siwoczerwonego drewnianka, które momentalnie rozpadło się na drobne węgielki.

Obrysy ogrodu stopniowo ginęły w półmroku. Słońce ledwie wstawało i nie zdążając się zmęczyć, niktęło za horyzontem, pozostawiając jedynie mroźne zimowe niebo.



– Nie ma jeszcze czwartej, a już się ciemno robi – powiedziała Luba. – Maksymie, nalej z łaski swojej benzyny do agregatu, bo jak wyłączą prąd, kiedy już wszyscy goście będą na miejscu, to nie będziesz miał na to czasu.

– Pomoże mi pani? – zapytał Jany, przechodząc obok niej.

Jana odłożyła talerzyki na parapet i trzymając ręce w tylnych kieszeniach dżinsów, poszła za Maksymem.

Agregat stał w garażu, a ten z kolei znajdował się obok zawalonej obrazami i książkami pracowni. W samym garażu też pełno było rzeźb, starych lamp i stosów radzieckich albumów turystycznych z czarno-białymi zdjęciami fabryk, kopalni odkrywkowych, wielkich pieców i innych rozkoszy stroju socjalistycznego.

– Mówię pani – powiedział Maksym, wchodząc do garażu – tego mojego Sławka to zawsze nosiło. Dostał z wojska urlop na Gwiazdkę. Ale to nieistotne, bo zawsze był taki. Nie usiedzi w miejscu. Teraz też, tyle tylko, że niewyspany chodzi. Maryna to jego żona. Święta kobieta. Ich syn – także Sławko – ten to jest dopiero narwaniec. Gorszy od samego ojca.

– A gdzie on teraz jest?

– Kto go tam wie. Może już zdążył jakąś stodołę podpalić. Swoją drogą trzeba go poszukać. W pokoju z ojcem siedzi mama Switłana – kontynuował Maksym, otwierając kanister. – Wpadnie też mój kum Eduard.



Sławko za nim nie przepada, ale za to bardzo lubi go Maryna. Możliwe, że Edik weźmie ze sobą jaką babkę.

– Dziękuję za instrukcje. Będą jeszcze jakieś?

– Nikomu w nic proszę nie wierzyć, jestem tu jedyny normalny – podsumował Maksym i spojrzał na Janę. – Swoją drogą kiedy nalewam benzynę – powąchał kanister – za każdym razem przypominam sobie, jak jeździliśmy z ojcem nad morze.

Kucnął przed agregatem.

– W samochodzie mój ojciec zawsze woził dwa kanistry z benzyną i mówił „Na wszelki wypadek, żeby nie utknąć gdzieś w środku pola”. To bardzo działało na moją wyobraźnię. Marzyłem sobie: „Gdyby tak choć raz utknąć gdzieś w środku pola. Z ojcem! Zrobilibyśmy sobie szałas z kukurydzy, nocowalibyśmy w polu. Żaden samochód by się nie zatrzymał i zostalibyśmy tak we dwójkę. A gdybyśmy zrobili się głodni, to upolowalibyśmy zająca i upiekli go na ognisku”. W tamtym czasie interesowałem się pułapkami na zające i byłem przekonany, że upolowanie jednego nie zajęłoby mi więcej niż pół godziny. Dlatego pewnego razu, zanim ruszyliśmy w trasę, wyjąłem te kanistry. „Jakiś skurwiel musiał ukraść” – przeklinał ojciec i złościł się przez cały dzień, póki nie dotarliśmy nad samo morze. Wyczekiwałem z wypiekami na twarzy, aż skończy się benzyna i gdzieś utkniemy. Tyle tylko, że stacja benzynowa była otwarta i ostatecznie z mojego planu wyszły nici. Nie udało mi się spędzić dodatkowego czasu z ojcem. Weekend nad morzem zleciał w mgnieniu oka, po czym znowu trafiłem pod opiekę mamy – myłem nogi, czesałem włosy i cho-

dziłem do szkoły w czystej, wyprasowanej koszuli...

– Twoi rodzice się rozwiedli? – zapytała Jana, przypatrując się, jak Maksym cienkim strumieniem wlewa benzynę do baku agregatu.

– Tak. Ja przynajmniej coś pamiętam z tego, jak byli razem, ale Sławko to już kompletnie nic. Aha, jeszcze jedno. Przyjedzie moja była żona. Z moją mamą są jak najlepsze przyjaciółki. A mama swoją drogą wraca jutro do Berlina.

– Nie będzie jej ciężko tak samej jechać?

– Urodziła mnie w wieku dziewiętnastu lat, więc póki co daje radę. Mój ojciec leczył ją na żołądek. I tak wyleczył, że ja się urodziłem... Weźmy kieliszki. Powinny tu gdzieś być... – Maksym otworzył starą szafkę, w której niczym na wystawie stały wazy do zupy. Jedna z nich zamiast ucha miała głowę kaczkę, a bok drugiej ozdobiły rzeźbione zające.

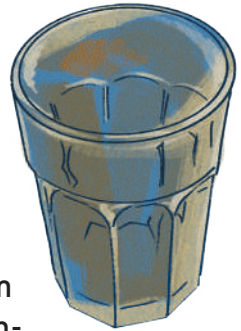
– Więc ile ma pan lat?

– No cóż, biorąc pod uwagę fakt, że uparcie zwraca się do mnie pani per pan, to chyba najwyższy czas zabierać się z tego świata.

Jana wzięła po cztery kieliszki do każdej dłoni. Maksym niósł kolejne sześć.

W drzwiach stała mama. Była wysoka, miała siwe, przycięte do szyi włosy, wąskie usta i farbowane na czarno brwi. Miała też czarne spodnie, a długi szary sweter idealnie pasował do jej siwych włosów.

– No, znalazłeś się w końcu – powiedziała do Maksyma – wyobraź sobie, że twój ojciec, któremu urodzi-



łam dwójkę dzieci, nie poznał mnie. Całe życie uganiał się za radiolożkami, a we mnie zobaczył teraz kierowniczkę laboratorium. To była przecież stara ropucha. Sam powiedz, nawet bez świadomości znalazł sposób, żeby mi ubliżyć. – Mama spojrzała w bok, po czym opamiętawszy się, zwróciła się do Jany: – Oj, przepraszam. Jestem Święta.

– Dobry wieczór – odparła Jana.

– I tak oto mój synek zbliża się do pięćdziesiątki.

– Mamo – przerwał jej błyskawicznie Maksym. – Nie musisz tego mówić, póki się faktycznie nie zbliżę.

– Był taki okropny, jak był mały... – ciągnęła matka. – Jakże ja się z nim namordowałam. A wszyscy tylko mi powtarzali: „jeszcze trochę i będzie Iżej, już niedługo będzie Iżej...”. Może po pięćdziesiątce nareszcie będzie Iżej?

– Po pierwsze, nie mam jeszcze pięćdziesiątki...

– Co za różnica? Wiek spływa po facetach jak po kacze...

– I co, ani trochę nie masz Iżej? – zapytał Maksym, otwierając wolną ręką drzwi i wpuszczając obładowaną kieliszkami Janę.

– Teraz? Teraz w ogóle jesteś nie do zniesienia!

Maksym uśmiechnął się do matki.

– Nie wpuszczaj zimna – powiedziała.

– Dlaczego nie wchodzisz do domu?

– Czekam na kogoś.

„Kimś” mama mogła nazwać jedynie Karlę. Gdy tylko rozwód Maksa stał się faktem, matka przestała w obecności syna nazywać Karlę po imieniu i konsekwentnie mówiła „ktoś”.

Z tarasu widać było, jak pod bramę podjechało czarne bmw, z którego wysiadł nie kto inny jak właśnie „ktoś” – kobieta o włosach zaczesanych do tyłu i ciemnych jak samo auto. Karla przywiozła butelkę whisky i bukiet czerwonych róż. Objęła Maksyma, wręczyła mu kwiaty i alkohol, po czym powiedziała:

– Musimy porozmawiać.

Mówiła z lekkim akcentem.

– Myślałem, że takich róż doczekam się dopiero na własnym pogrzebie.

– Wybacz – nie straciła rezonu Karla. – Na pogrzeb również je przyniosę.

Karla miała czarne jak noc oczy i gęste ciemne brwi. Można by pomyśleć, że to raczej ona jest dzieckiem Swiety aniżeli Maksym – z jego jasnymi dużymi oczami i szerokim uśmiechem.

Na taras wyszła Luba i spytała:

– Czy ktoś może pójść na wizytę? To już będzie ostatnia przed snem.

– Ja już byłam – powiedziała mama. – A tak w ogóle to jestem teraz kierowniczką laboratorium. Karlo, kochana, bądź tak dobra i idź do niego.

Przy drzwiach Karla otrzymała niezbędne wskazówki, choć już wcześniej była świadoma stanu zdrowia byłego teścia: „Utyskuj na zdrowie, potakuj, weź receptę, umów się na wtorek, bo on nie lubi umawiać się na poniedziałki...”.

Pierwsza weszła mama.



– Jelizawieto Pawłowno – powiedział do niej ojciec. – Powinna pani już iść do domu. Przyjmę ostatniego pacjenta i też będę się zbierał. W pani wieku...

– Jelizawieto Pawłowno – syknęła sama do siebie matka – przecież ona wyglądała jak stary szczur! – Podeszła do drzwi. – Nigdy nie traktowałeś mnie dobrze i teraz, kiedy postradałeś zmysły, jesteś w stosunku do mnie równie podły.

– Pacjentka była umówiona – powiedziała spiesznie Luba.

Weszła Karla. Jej były teść siedział przy biurku w białym zarzuconym na ramiona kitlu. Wyglądał na zmartwionego.

Kobieta usiadła naprzeciwko.

– Co pani dolega? – zapytał.

– Ból głowy.

– Pani z wymiany? – zapytał, wyłapując jej akcent.

– Jestem z NRD – Karla zareagowała momentalnie.

– Naturalnie – rzekł ojciec, przechodząc na rosyjski. – Wszyscy przychodzą z bólem głowy – powiedział jakby do siebie, po czym dodał głośniejszym głosem: – A ja przecież jestem gastroenterologiem.

– Kiedy zjem coś tłustego – kontynuowała Karla – odczuwam ciężkość na żołądku.

– Proszę nie jeść tłustych potraw – powiedział lekarz, po czym zamilkł i zwrócił się do Luby, która stała w drzwiach: – Proszę zostawić nas na sekundę.

Luba niechętnie wyszła, zostawiając szparę w drzwiach, żeby w razie czego móc na czas zareagować.



– Słyszę – zaczął – że nie jest pani miejscowa. Może coś więcej pani wiadomo... Sęk w tym, że dzisiaj rano złapałem przypadkowo fale Głosu Ameryki. Niech sobie pani wyobrazi, że czystym ukraińskim mówili o wojnie i o tym, że Pentagon wysyła do Ukrainy broń...

– To prawda – westchnęła Karla. – Ukraina wkrótce będzie wolna.

Teściowi zdrząła ręka, chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, po czym na kartce napisał coś szybko starczym charakterem pisma i podsunął to Karli.

Ta nie mogła rozczytać odręcznego pisma, tym bardziej cyrylicznego, więc skinęła jedynie głową i złożywszy notatkę na pół, włożyła ją do kieszeni.

Przez szparę Luba dostrzegła, że Juchymowycz zaczyna się denerwować, więc natychmiast podbiegła do jego biurka. Podała mu jakąś kartkę.

– Oto zalecenia żywieniowe dla wsparcia pracy trzustki – powiedziała. – Tymczasem pora już odpocząć.

Stary unosząc brwi, raz jeszcze spojrzął na Karłę, później na Lubę. Wspierając się na tej ostatniej, obszedł biurko, znów zerknął na „pacjentkę” i poufale poklepał ją po ramieniu.

Karla wzięła rozpisaną dietę, pożegnała się i wyszła.

Przed gabinetem stała jej była teściowa.

– Niech no cię przytulę – powiedziała. – Kto by pomyślał, że spotkamy się w takich okolicznościach.

– Święta... – powiedziała cicho Karla. – Trzeba coś zrobić z Dawidem.

– A co z nim?

– Wymyślił sobie, że pójdzie na wojnę.

– Co takiego? – Starsza kobieta uniosła brwi. – Hmm... Nie martw się... Młody jest, nikt go nigdzie nie weźmie.

– W tej chwili tak, ale latem nie dam rady go powstrzymać.

– Może wojna skończy się do lata? Nie puścimy go. Ważne, żeby Sławko z nim porozmawiał.

– A co myśli jego ojciec? Jemu samemu się poszczęściło – nie ma oka, więc jego nie wezmą, ale czy nie szkoda mu własnego syna?

– Może to nie jest aż tak wielkie szczęście nie mieć oka – odparła Swieta. Przez chwilę matka Maksyma objęła panowanie nad przyjaciółką Karli.

– Swieta, wiesz przecież, co mam na myśli. Mam pięćdziesiąt pięć lat, to moje jedyne dziecko, nie rodziłam go, żeby szedł na wojnę... Jest w połowie Niemcem, nie ma obowiązku... Ojciec powinien mu to wytłumaczyć. A może Sławko ma na niego większy wpływ?

– Karlusiu – zamruczała mama – gramy w jednej drużynie... zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Ciebie też nie posłucha. W jego oczach jesteśmy jedynie rozhisteryzowanymi babami, które nie pozwalają mu zostać bohaterem.

* * *

Na zewnątrz było już całkiem ciemno, w salonie paliły się lampy. Sławko nalewał wino do kieliszków. Wyziębione i oblepione śniegiem wracały z dworu koty. U jednego z nich soople przymarzły do sierści na brz-

chu, więc teraz metodycznie odgryzał je i rozrzucał wokół – te topiły się, pozostawiając po sobie ciemne kupki mokrej sierści.

Karla, wykorzystując fakt, że w pobliżu Sławy nie było nikogo, podeszła i zagadnęła:

– Sławku... Dawid chce iść do wojska.

– Jeszcze ma mleko pod nosem – odpowiedział automatycznie.

– Co?

– Mówię, że powinien dorosnąć. Ile ma teraz lat? Trzynaście?

– Twój bratanek ma siedemnaście lat – powiedziała ze złością Karla. – Siedemnaście! Gdzie jest Maksym?

Maksym stał na progu, witając kolejnych gości.

W oknie zabłyśły światła reflektorów. Samochód zatrzymał się za bmw Karli. Przy bramie pojawił się mężczyzna w zielonej koszuli narzuconej na biały T-shirt. Był łysy, z rzadką bródką i kolczykiem w uchu. Za nim szła wysoka, szczupła dziewczyna z krótką fryzurą. Miała na sobie sukienkę z grubej tkaniny i szalik owinięty wokół niezmiernie długiej szyi – zupełnie jakby celowo ją wydłużała, jak robią to kobiety w niektórych afrykańskich plemionach. Poza tym nosiła duże okrągłe okulary w cienkiej oprawce.

– Edik! – wykrzyknął Maksym, uśmiechając się.

Edik niósł przed sobą kosz owoców. Na starannie ułożonych bananach leżał jakiś pakunek.

Mężczyzna odłożył koszyk i objął solenizanta.



– Stary!

– Edinek!

– To dla ciebie, – Edik przekazał kosz. – Bomba witaminowa! Banany, ananasy i marakuje! a to – wziął do ręki pakunek – prezent specjalny.

Edik był literatem. Pisał patetyczne wiersze, przy ciężkąwą prozę i miał ambicje, by zostać scenarzystą, o kontrakt z którym ubiegałby się sam Netflix.

– Dalej, rozpakuj! – zachęcał Edik.

W pakunku znajdowała się cienka książeczka.

– To mój ostatni tomik! Świeżuteńki!

Książeczka była zatytułowana *Stal*.

– W tej chwili kończę dokumentalną rzecz o wojnie. Niepodobna podobna pisać dzisiaj cokolwiek innego.

– To będzie coś – powiedziała dziewczyna w okrągłych okularach.

– Och, przepraszam, kochanie – Edik zwrócił się do dziewczyny. – To Eliza, menedżerka kultury, organizowała moje spotkanie autorskie. Tak się poznaliśmy.

– Miło mi – powiedział Maksym.

– Spójrz, mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. –

Edik wyjął z kieszonki na piersi małą turkusową książeczkę przepasaną złotą wstążką. – To notatnik na każdy dzień przez kolejne pięć lat. Po prostu notuj, co ci tylko do głowy przyjdzie. Ja na ten przykład codziennie piszę o sobie trzy przymiotniki. Dzisiaj były to: zdumiony, podekscytowany, zdeterminowany.



- A po cholere? – szczerze zdziwił się Maksym.
- Największą głębię kryjemy sami w sobie – odpowiedział Edik. – Jak ojciec?
- Eee, po staremu. Chodźmy do reszty. Karla też przyjechała.
- A ona czego tu szuka? Myślała, że to stypa po tobie?
- Zwykły zbieg okoliczności. Ma do mnie jakąś sprawę.
- Dałeś jej już wszystko – zaśmiał się Edik.
- Eliza poszła za nimi.
- Skoro jesteśmy już wszyscy... – powiedział Maksym i w tej samej chwili wyłączono prąd.
- Ups – zasyczał Edik – a nam się poszczęściło i mamy wspólną linię ze szpitalem. Nie wyłączają na w ogóle.
- Nam właściwie też nie wyłączają – powiedziała Luba, wstając, żeby pójść do Juchymowycza. – Tylko czasami.
- Zapalcie świece urodzinowe. – Sławko wyrzwał z tarasu. – Niosę mięso!
- Gdzie jest, do cholery, młody? – zdenerwował się Maksym.
- Znalazł się koło tarasu, jak zastawiał pułapki na zające. Pociął sobie rękę, musiałam go opatrzyć – powiedziała matka.
- Sławko – szczupły i pełen werwy dziewięcioletni chłopiec z siniakiem na policzku, siedział w ciemnym kącie z nogami podwiniętymi pod siebie i przyglądał się bandażowi.



– Sam niedawno taki byłeś – westchnęła mama. – Aleś ty mnie wtedy wymęczył...

Na te słowa Karla podniosła brwi i spojrzała na Maksyma. Najwyraźniej na widok cudzego dziecka przypomniała sobie o Dawidzie. Młody Sławko zerwał się i pobiegł do taty.

– Daj mi całego szaszłyka, daj mi...

– Boże drogi, jeszcze coś sobie zrobisz szpikulcem, podaj mi lepiej talerz.

– Tato, no proszę, daj cały, no daj!

– Daj mu, jak chce – powiedział Maksym. – Jeśli ma zrobić komuś krzywdę, to i tak znajdzie czym.

Młody chwycił szaszłyk i gwałtownym ruchem otworzył drzwi na taras. „Będę jadł w okopie!”

– Zdążył już wykopać? – zapytała Maryna.

– W czasie obiadu – powiedział Sławko takim tonem, jakby to było oczywiste.

– No dobrze, wypijmy zdrowie solenizanta! – Edik podniósł kieliszek. – Sto lat, Maksymie!

Wszyscy podnieśli kieliszki.

– Włącz agregat! – poderwał się Sławko. – Potańczymy!

– Pójdę z tobą – powiedziała Karla, doganiając Maksyma przed samym wyjściem.

Ten ruszył przodem.

– Jako ojciec powinieneś coś zrobić – odezwała się Karla do ciemnych pleców Maksyma.

– Czyli co? – Odwrócił się.

Kobieta w milczeniu zrobiła gest ręką, wskazując Maksymowi, żeby się ruszał, bo ludzie czekają na muzykę.

– Już mu mówiłem – rzucił przez ramię – ale musisz być świadoma, że za siedem miesięcy nie będziemy już mogli za niego decydować.

Karla stała przy drzwiach garażowych. Jej postać czerniała na tle szarego, jeszcze nie w pełni nocnego nieba.

– Decydować nie, ale zawsze można mieć wpływ – odparła. – Cała nadzieja w tobie albo Sławku. Wiesz dobrze, że rodzic, który zostaje przy dziecku, jest zawsze tym gorszym i nie stanowi dla dziecka autorytetu. To cena, którą muszę płacić za to, że jestem z nim każdego dnia. – W głosie Karli zabrzmiała uraza.

– Pogadam ze Sławkiem – odparł Maksym i włączył agregat.

Karla chciała jeszcze coś powiedzieć, ale kiedy urządzenie zaczęło głośno pracować, po prostu odwróciła się i ruszyła wydeptaną ścieżką z powrotem do domu. Maksym również wyszedł, zostawiając bramę garażową otwartą. W jego stronę, mijając Karłę i wymachując w powietrzu szpikulcem, biegł młody Sławko.

– Patrz, patrz na to! – krzyczał. – No patrz!

Wyjął z kieszeni jabłko, podrzucił je do góry i spróbował nadziąć na szpikulcec, ale owoc poleciał zbyt wysoko, niknąc na tle ciemnego nieba. Sławko chybił, stracił równowagę i całym ciężarem upadł na ziemię wraz ze szpikulcem i jabłkiem.

– Oby ten chłopak dożył tylko do dorosłości – powiedział do siebie Maksym, podnosząc Sławka. – Trzeba go gdzieś zamknąć...



Tymczasem w salonie Jana przypominała gościom tradycję podgryzania kality. Sławko wyciągnął kij od mopa, podczas gdy Luba przyniosła z pieca popiół oraz pogrzebacz. Kalitę przywiązano do kija czerwona wstążką. Jana spisała ten zwyczaj od babci Todosi, a inne warianty знаła z książek, jednak ponieważ Luba miała za sobą więcej doświadczenia praktycznego, to ona wszystkim kierowała.

– Wsiadaj na konia! – powiedziała do Edika, podając mu pogrzebacz. – A ty będziesz panem Kalitańskim! – zwróciła się następnie do Sławka. – Nie możesz się śmiać, bo nie dość, że przegrasz, to jeszcze umorusasz się cały popiołem.

– Wyjdź za drzwi i wjedź na koniu – zaśmiała się Jana.

Dosiadłszy pogrzebacza, Edik ze zmarszczonymi brwiami wjechał do salonu. Sławko wszedł nogami na kanapę.

– Dobry wieczór, panie Kociubiński! – przywitał jeźdźca. – A dokąd to? Proszę okazać książeczkę woj-skową.

– Zbyt realistyczne, aż się pode mną nogi ugięły – powiedział Edik.

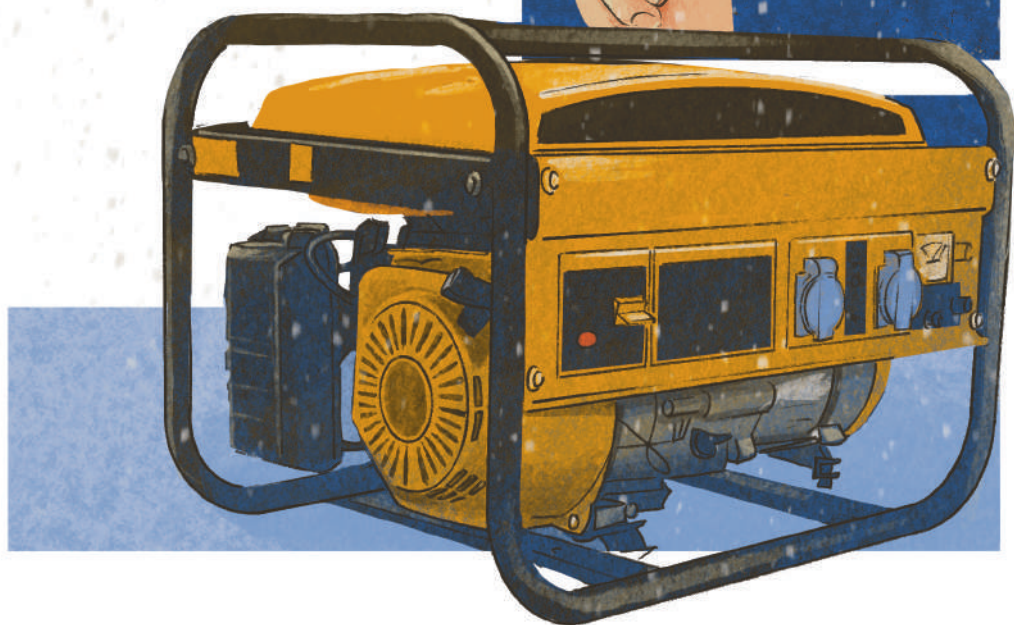
– W zęby mogę dać – pan Kalitański postępował zgodnie z przypisaną mu rolą.

Panu Kociubińskiemu było zupełnie nie do śmiechu.

– Dalej, próbuj ugryźć!

Edik podskoczył do kality, ale Sławko szybko uniósł ją na kiju aż do sufitu. Edik wskoczył wtedy na kana-





pę i zepchnął z niej Sławka. Ten spróbował uciekać, ale przy drzwiach do tarasu Edik dogonił go i odgryzł kalicie ptaszka.

Następnie na posterunek podjechał na pogrzebacz Maksym. Także dziewczyny spróbowały później podgryzać kalitę, chociaż według tradycji nie powinny tego robić. Jana jako badaczka zwyczajów autorytatywnie stwierdziła jednak, że należy iść z duchem czasu i uczynić zadość emancypacji. Maksymowi spodobało się, kiedy Jana podskakiwała do kality, bo wówczas, leżąc na podłodze, mógł spoglądać, jak jej sweter unosi się, odsłaniając żebra. „No cóż, błąkam się po tym świecie już prawie pół wieku i wciąż mi jedno w głowie” – pomyślał. Sława tak wrósł w swoją rolę, że odmówił wcielenia się w postać Kociubińskiego. Kiedy już obydwie kality były ponadgryzane, a umazany sadzą Sławko biegał z kijem od mopa po tarasie, goście rozsiedli się po kątach salonu. Jedynie Edik usiadł na podłodze, opierając się plecami o kanapę, i przybierając minę eksperta, stwierdził:

– Uważam, że wojna zakończy się latem. Szczególnie jeśli Niemcy – znacząco spojrzął na Karłę – dadzą nam Taurusy. Rosja powoli słabnie, już wkrótce będziemy na Krymie...

– „My”, czyli kto? – spytał Sławko.

– Czyli „wy” – uśmiechnął się Edik. – Notabene, Sławku, tworzę właśnie pewien dokument. Chciałem go z tobą przegadać. Jak sądzisz, na ile jeszcze wystarczy Rosji rakiet?

– Cholera ich wie – odpowiedział ten.

– A tak mniej więcej?

– Skąd niby mam to wiedzieć?

– A na Krym? Kiedy się tam dostaniemy według ciebie? Odcinamy im przecież logistykę. Wkrótce weźmiemy się za ich obronę przeciwlotniczą.

– Edik, może i wy się na niego dostaniecie, ale ja z lasu nie widzę Krymu. W ogóle nie myślę o raketach i logistyce. Kopię okopy i tyle.

– Rozumiesz, nie chcę odbierać ci *ejdżensi*.

– Czego nie chcesz mi odebrać? – Sławko dojadał kielbaskę i jednocześnie pomiędzy palcem serdecznym i małym trzymał butelkę piwa.

– Chodzi o to, że nie chcę zabierać ci głosu. Przeciwnie – chcę w swojej książce dać go samym żołnierzom. O czym najczęściej rozmawiacie?

– O tym, że zmarzniętą ziemię trudno się kopie, gliniasta też jest do dupy... Już lepiej piasek.

– A jakieś bardziej globalne tematy? Jeden z amerykańskich generałów twierdzi, że Krym to pułapka.

– Cholera go tam wie – powiedział zmęczonym głosem Sławko. – Do Krymu i tak się nie dokopię...

– Nasza babcia – wtrącił się Maksym – miała łeb na karku. Nie chciała płacić za przekopanie ogródka. Mówiła: Co będę płacić, jak mam dwóch wnuków nygusów? Niech oni kopią! Widzisz, Sławku – zwrócił się do brata – babcia solidnie zainwestowała w twoją przyszłą karierę.

– A w twoją za to zainwestował twój kolega Kola Karbid. Przynajmniej masz teraz oryginalne spojrzenie jednookiego artysty. Swoją drogą te twoje obrazy przyprawiają mnie o zawrót głowy. – Sławko wskazał kielbaską na jeden z nich. Była na nim przedstawiona ulica pogrążona w zimowej mgłę, z której wyłaniały się pojedyncze nagie drzewa.

- To nie patrz.
- Ale ja tylko tak. Jednym okiem – drażnił się dalej Sławko.
- Jesteśmy już praktycznie w Europie – kontynuował tymczasem Edik. – Że też musimy tak się nacierpieć, żeby ostatecznie przyjęli nas do tej europejskiej rodziny.
- Nikt nas nigdzie nie przyjął – powiedział Sławko.
- Mówię ci, analitycy nie mają już wątpliwości.
- Niech mówią, co chcą. Europa siedzi i patrzy, czy uda nam się z tego wykaraskać. Weźmy na ten przykład Niemców. – Sławko wskazał na Karlę. – Przysłali nam hełmy. Hełmy! Wielka mi pomoc...
- A co ja mam z tym wspólnego? – nie wytrzymała Karla. – Przypomnę tylko, że mam syna, który rwie się na tę wojnę!
- Mówiłem tylko tak ogólnie – powiedział pojednawczo Sławko. – Nie złość się.
- Lepiej byś porozmawiał z Dawidem.
- Owszem, porozmawiam. Opowiem mu, jak jest naprawdę.
- Naoglądał się filmików z Chersonia, jak noszą żołnierzy na rękach, i sam teraz... – Karla zamilkła.
- Boi się, że wojna skończy się, zanim dorosnie – uśmiechnął się Sławko. – Zdąży jeszcze powojować... Maksym zresztą też pójdzie, bo już niedługo dwuokich na froncie nie starczy. Tylko za Ukrainę niech nie walczy póki co. Ma przecież niemieckie obywatelstwo, prawda? Przyjdzie czas, że tego waszego Dojczlandu będzie musiał bronić.



– Gdzie jest młody? – Maksym wskazał na pusty fotel w kącie.

Maryna wybiegła na taras, krzycząc po drodze: „Sławko-o-o!”.

Od strony zarośli w pobliżu rzeki słychać było jakiś szelest.

– Tutaj jestem!

– Co tam robisz?

– Kruszę lód!

– Mój Boże – szepnęła Maryna i wróciła do domu, żeby narzucić coś na ramiona i wznowić poszukiwania chłopca.

– Jano – odezwał się Maksym – pójdźmy po tego polarnika. Przyda się nam lód do koktajli.

Jana rozmawiała właśnie na kanapie z Lubą. Do Maksyma doleciał fragment słów ostatniej: „...z której strony zaszczeka pies, z tej należy spodziewać się narzeczonego”.

– Jano – powtórzył Maksym – chodźmy, dopóki młody nie wykuł jeszcze przerębla.

Maryna zdążyła już wybiec na taras. Maksym dogonił ją.

– Idź do domu. Zaraz go sprowadzę. Dopilnuj lepiej, żeby Edik nie nagadał jakichś głupstw. Pójdę bezpośrednio nad rzekę, a Jana podejdzie od strony strumienia.

Zaraz za bramą ogrodu strumień wpadał do Dniepru. Jako dziecko Maksym wraz z Wadikiem, który mieszkał wówczas u Janiny, budowali na tym strumieniu pomniejszone modele Dnieprzańskiej Elektrowni Wodnej. Tworzyli zapory i sztuczne zbiorniki, symulując

zalewanie pobliskich wiosek. W czerwcu tamtego roku wody dopływu Dniepru wezbrały na tyle, że podeszły pod sam próg domu i mały Maksym fantazjował o złowieniu karpia wprost z okna swojej sypialni. Przy odrobieniu szczęścia mógłby to być nawet szczupak albo tołpyga. Ojciec, kiedy dzwonił albo przyjeżdżał na weekend, tylko rozbudzał wyobraźnię dziecka, opowiadając, że kiedy sam był mały, to powódzie zdarzały się co roku i wraz z dziadkiem gołymi rękami łapali między jabłoniami karpie. „A tam, pod śliwą, złapałem szczupaka!” – chwalił się i spoglądał, jak małe ogniki igrały w oczach syna. Maksym brodził po podtopionym ogrodzie i wypatrywał ryb, ale znajdował co najwyżej żaby. W nocy śniły mu się ławice tołpyg, które ocierały się swoimi błyszczącymi bokami o pnie drzew, a także karpie lustrzenie, których łuski świeciły się po wyciągnięciu z wody.

– Robi cię tylko w konia – mówił mu dziadek. – Nie stój z bosymi stopami w wodzie, bo przeziębisz się i dostaniesz gruźlicy kości.

– Jak Łesia Ukrainka – dodawała babcia. – Jeszcze raz zobaczę cię w wodzie, to dostaniesz wciroy!

Maksym wiedział, że babcia ani go nie dogoni, ani nie da mu lania, ani nawet nie odeśle z powrotem do matki, więc brodził dalej po kolana w wodzie, mając nadzieję na udany połów.

– A co, jeśli podpłynie nutria i odgryzie ci palce? – Babcia próbowała nastraszyć wnuka na wszelkie sposoby. – Widziałeś, jakie nutrie mają zęby?

Jednak opowiadaniem o drapieżnych nutriach także nie dało się zniechęcić małego Maksyma. Dziśaj te same drzewa były pokryte śniegiem, a strumień

płynął spokojnie, nie próbując wyrwać się ze swojego koryta.

– Tutaj ostrożnie – powiedział do Jany Maksym. – Można się łatwo poślizgnąć. Nie było zbyt silnych mrozów, a prąd w tym miejscu jest całkiem wartki. Będzie pani moimi oczami.

Szli brzegiem strumienia w stronę Dniepru, skąd dobiegało głucho stukanie. Kiedy wyszli z trzciny, zobaczyli, że Sławko junior wszedł na lód i uderza o niego jakimś przedmiotem, przyświecając sobie czołówką.

– Sławku – krzyknął do niego Maksym. – Chodź tu szybko.

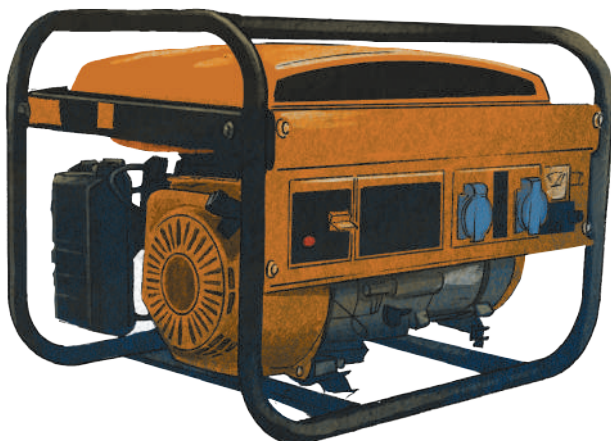
– Ale ja kruszę lód! – dał się słyszeć dziecięcy głos. Maksym nachylił się do Jany.

– Niech pani włączy latarkę w telefonie.

Jana zrobiła, o co prosił, i podała telefon. Maksym podniósł go i krzyknął:

– Idź do światła, młody!

– Wujku Maksymie, pozwól mi dokończyć!



– Chodź, pokażę ci, gdzie można nabrać kryształowo czystego lodu! Trzeba szukać przy źródle, a ty rąbiesz na stojącej wodzie, głuptaku! No dalej, idź do światła!

Stukanie ustało, jasny punkcik czołówki zaczął się przybliżać, aż w końcu z ciemności wyłonił się uzbrojony w siekiere Sławko.

Jana na wszelki wypadek chwyciła go szybko za rękaw.

– Chodźmy do domu.

Młody spróbował uwolnić rękę.

– Wujek mówił, że pokaże, gdzie można nabrać czystego lodu!

– No już dobrze, pójdziemy – uspokoił go Maksym. – Nakruszysz nam do mojito. Co pani na to?

– Trochę za zimno i za ciemno jak na mojito.

– Życie jest jedno. Kto wie, może nie dożyjemy do lata i przemieniając się w nuklearny popiół, pożałujemy, że zwlekaliśmy z tym mojito...

Maksym zatrzymał się i za kołnierz wypchnął na ścieżkę młodego.

– Wolę, żebyś nie szedł z tyłu z siekiere – powiedział. – Tutaj możesz rąbać.

Zatrzymali się przed strumykiem w miejscu, w którym tworzył się malutki zamarznęty obecnie wodospad.

Młody zamachnął się i z trzaskiem rozbił lód.

– A do czego będziemy zbierać lód? – zapytał Maksym.

– Do czapki! – odpowiedział bez wahania Sławko.

– Pani Janeczko – powiedział Maksym – proszę wystawić swoje delikatne dłonie i przygotować się na trochę zimna.

Jana wyciągnęła ręce, a Maksym wsypał w nie garść ostrych kawałków lodu.

– Wujku Maksymie, a czy wujek chce iść na wojnę? – zapytał nagle młody.

– Nie wiem.

– Żałuje wujek, że nie ma oka? a może wolałby być wujek całkowicie ślepy? Bo niewidomi mają wyostrzony węch. Moglibyśmy wtedy z wujkiem na zające chodzić...

– Brzmi całkiem zachęcająco – stwierdził z uśmiechem Maksym. Jana szła przed nimi w kierunku przyćmionego światła z salonu. Zza jej pleców dochodziły do niej fragmenty rozmowy wujka z bratankiem.

– A może chciałby wujek, żeby prawe oko było ślepe, a nie lewe? a czy mógłby wujek zostać snajperem? Oni potrzebują tylko jednego oka. Dowiadywał się wujek w komisji wojskowej?

– Właściwie to chciałbym – powiedział Maksym. – Popytam. Słusznie zauważyłeś – snajperzy przykrywają jedno oko. Dzięki, bystrzaku.

– Nie ma za co – prychnął młody. – Może się jeszcze do czegoś przydasz. A Dawid poszedł już na wojnę?

– Jeszcze nie.

– A ile on ma lat?

– Latem skończy osiemnaście.

– Jak ja mu zazdrozczę! – westchnął Sławko. – Ja mam jeszcze osiem lat i dwa miesiące czekania.

Tuż przed samym domem młody paroma susami wyprzedził Maksyma i Janę i wbiegł do środka.

– Jezu! – krzyknęła Luba. –
Przynajmniej siekierę mu zabierzcie!

Jana odrętwiałymi od zimna dłońmi wrzuciła lód do kuchennego zlewu. Poczuli, że ktoś podszedł do jej pleców. To była Karla. Pochyliła się nad zlewem i szepnęła: „Niech pani mu powie, żeby wpłynął na Dawida. To jego jedyny syn”.

Jana odwróciła się.

– A kim ja jestem, żeby mu mówić takie rzeczy?

– Posłucha panią, wiem o tym. Dobrze go znam.
Proszę mu to powiedzieć.

– Nawet nie wiedziałam, że ma syna.

– Po prostu proszę to zrobić. Uratuje pani chłopakowi życie.

Jana strzepnęła resztki lodu i wody.

– Proszę panią. Znam go. – Karla odeszła i będąc przy drzwiach, rzuciła: – Zaproponuje pani, że namaluje jej portret.

Z salonu dobiegł brzęk szkła. Edik zapraszał do kolejnego toastu. Karla wyszła, pozostawiając po sobie jakiś gorzki, cytrusowy zapach.

– Niech wszyscy – powiedział Edik z kieliszkiem w dłoni – wrócą do swoich domów cali i zdrowi. A tobie, drogi mój kumie i druhu, życzę natchnienia i siły, abyś po zwycięstwie mógł odbudowywać te wszystkie mosty, szkoły i szpitale. Mnóstwo pracy przed tobą. Niech ci zdrowie dopisuje. Sto lat!



Już trochę pijany, Edik podszedł do Maksyma i głośno pocałował go w oba policzki. W drzwiach pojawił się ojciec.

– Nie mogę spać – rozłożył ręce.

– Tato... – Maksym podszedł do niego. – Napij się z nami trochę wina.

Falowane siwe włosy ojca oświetlała pomarańczowa lampka w rogu salonu. Stał na niepewnych nogach w długich skarpetkach i domowych kapciach. Na górze miał narzucony ciepły flanelowy szlafrok czerwonego koloru.

– Liza – zwrócił się do matki. – Z jakiego powodu ten mężczyzna nazywa mnie „tata”?

– Liza: – Przewróciła ta oczami.

– Jestem twoim synem – powiedział Maksym – mieszkamy razem. Wypij za moje zdrowie.

– Jesteś moim synem? – Ojciec stał chwilę zagubiony, po czym roześmiał się. – No cóż, skoro tak mówisz – nie mógł powstrzymać śmiechu i cały aż się trząsał – to nalej!

Ojciec pił wino z jakimś ironicznym niedowierzaniem. Usiadł w fotelu i w dalszym ciągu przypatrywał się Maksymowi z pobłażliwym uśmiechem. Wino przyniosło oczekiwane znużenie, powieki zrobiły się ciężkie, ręce osłabły, nogi wyprostowały, świat wokół się rozplynął i po pewnym czasie ojciec zasnął w fotelu w sposób, w jaki robią to wyłącznie starzy ludzie. Kiedy ciepłe dłonie Luby dotknęły jego ramienia i lekko unióś powieki, w pobliżu nie było już nikogo poza śpiącymi na kanapie kotami. W pokoju paliło się stłumione światło stojącej lampy. Roman Juchymowycz rozejrzał się – pokój wy-



dawał mu się jednocześnie obcy i znajomy, jakby znowu był małym chłopcem i matka miała go wkrótce położyć spać. Jedyne z obrazów na ścianie naprzeciwko spoglądał na niego siwowłosy starzec, który mgliście przypominał mu kogoś. Zdaje się, że widywał go w snach, jak te łapały go za nogi. Juchymowycz nie chciał na niego patrzeć i spróbował wstać. Luba pomogła mu i starszek pomału poczłapał do swojej sypialni.

Tymczasem Jana stała przy dziurze w płocie i włączyła w swoim telefonie latarkę, aby ostrożnie przestąpić przez poprzeczną deskę. Nie robiła tego jeszcze tak automatycznie jak Maksym, a zupełnie nie miała ochoty na koniec imprezy wylądować w śnieżnej zaspie. Zanim spojrzała pod swoje nogi, podniosła najpierw głowę i ujrzała nad sobą jasne zimowe gwiazdy. Te gęstym płaszczem wisały nad ulicą, strumieniem i Dnieprem. Były tak blisko i nisko jak nigdy dotąd. Poza tym było tak cicho, że każdy ruch niemal dudnił w uszach.

– Pani Jano – dobiegło z tarasu.

To był Maksym.

– Pani Jano – powtórzył.

– Dobranoc – powiedziała Jana.

– Hau – dotarło do niej w odpowiedzi.

